Nr. 16. Poznań, dnia 19 Kwietnia 1908 r. Rok XII.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 35. Telefon Nr. 97. **Ogłoszenia:** od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

ALLELUJA!



Ukrzyżowali Go, wytoczyli Jego świętą krew, przywalili kamieniem grobowym i sądzili, że umarł...

Lecz nie umarł Chrystus, ale zmartwychwstał i żyje.

Święto Zmartwychwstania Pańskiego, to pamiątka największego cudu, jaki zna historya.

Chrystus musiał zmartwychwstać, albowiem bez zmartwychwstania nie byłoby Chrześciaństwa, bo nie byłoby pewności, że Ten, który przyszedł na świat głosić Słowo Boże, miał do tego prawo, słowem, nie byłoby pewności, że był na prawdę Synem Bożym, za którego się podawał.

Za naukę swą, za swe przekonania dużo ludzi śmierć poniosło. Jestto rzecz wielka, lecz nie udowodnia jeszcze poprawności tych przekonań i nauki. To też nie Męka, lecz Zmartwychwstanie Pańskie było niezbitym dowodem prawdziwości Jego Nauki, gdyż tylko Bogiem mógł być Ten, co z własnej siły i woli złamał pieczęcie grobowe, a jeżeli Bogiem był, musiał być Prawdą i prawdą musiało być to, czego nauczał.

Tak więc tylko wiara, którą święty Kościół katolicki głosi, jedynie prawdziwą być może, gdyż papieżom przekazał Chrystus Pan pieczę nad Nauką Swoją i nad Kościołem, papieżom, którym przydał Ducha Świętego jako strażnika, a uczynić to musiał, gdyż bez tej zaziemskiej pomocy byliby papieże błądzili, boć, jako ludzie są ułomni.

Rozpamiętywanie cudu Zmartwychwstania Pańskiego napełnia nieskończoną radością i spokojem serce człowiecze, albowiem uczy ono, że to, w co wierzymy, prawdą jest i pewnością niewzruszoną.

* * *

Nie ma na świecie drugiego narodu, któryby żywiej, goręcej od naszego był przywiązany do świętej Wiary katolickiej. Ojcowie nasi krew obficie przelewali w jej obronie, a ojczyzna nasza męczeńska przez papieży rzymskich Przedmurzem Chrześciaństwa nazwaną została.

Dziś ziemska powłoka Polski w grobie politycznego niebytu spoczywa, lecz naród polski jest i rozkwita cudownem pogrobnem życiem. Nie można wprawdzie Polski porównywać z Chrystusem, lecz i pod tym względem święto Zmartwychwstania Pańskiego działa krzepiąco. Na przykładzie albowiem Kościoła uczymy się, że i bez państwa można spełniać swą dziejową misyę, jeżeli duch się jej nie sprzeniewierzy.

Nigdy Kościół Boży nie był tak potężny, jak obecnie, gdy stracił Ojcowiznę Piotrową — państwo kościelne. Podobnie i my rozwinęliśmy tyle sił życiowych w niewoli, ile bodaj u nas było za najświetniejszych czasów niepodległości.

* * *

Do końca dni trwać będzie Kościół katolicki. I ten naród, który się o niego oprze, żyć będzie, póty się Bogu spodoba. Bóg tylko i naród sam o swem życiu stanowi. Bezsilne są obce zamachy. Przestrzeń przyszłości zaś tak olbrzymia jest i niezmierzona, że i pomyślności i szczęścia się po niej spodziewać można.

Tymczasem jednak chociaż, jako Chrześcianie, wyśpiewujemy radosne Alleluja, politycznie wciąż jeszcze żyjemy w nastroju wielkotygodniowym. Żaden znak, żadna gwiazda, żaden odgłos echowy nie zwiastuje polepszenia naszej doli. Szary, a nawet ponury jest horyzont naszego politycznego bytowania, lecz i dla nas zagrzmią kiedyś wielkanocne dzwony...

Z głębi uciśnionej piersi, po przez łzy wołamy: Chrystus Zmartwychwstan jest!

Alleluja!...





Praca dla ludu.

Od czasu wyzwolenia ludu z pod przewagi klas panujących, które zań myślały i działały, lud, a więc owe najszersze warstwy społeczeństw europejskich, stanął do pewnego stopnia na własnych nogach.

Dziś lud w zasadzie uzyskał te same prawa, jakie przysługują reszcie warstw społecznych. Prawa zaś pociągają za sobą obowiązki. Lud powinien zatem nie tylko być świadom swoich praw, lecz przedewszystkiem winien poznać swe obowiązki.

Droga ku temu wiedzie oczywiście przez oświatę. Bez oświaty nie może być mowy o dochodzeniu praw tam, gdzie bywają uszczuplane, ani o rzetelnem wykonaniu obowiązków, chociaż poznane zostały.

Zatem każda działalność skierowana ku dobru ludu winna być przedewszystkiem akcyą oświatową. Z oświaty bowiem wypływa dążność do polepszenia bytu ekonomicznego, społecznego, politycznego. Słowem oświata podnosi naród na wyższy szczebel cywilizacyjnego i kulturalnego rozwoju i jest dla ogółu nieocenioną zdobyczą.

Prawdziwa oświata zaś niemożliwa jest bez głębokiej i czynnej religijności. Socyaliści naprzykład bardzo dużo czynią dla oświaty. Ponieważ jednak zwalczają religię i odrzucają najbardziej podstawowe dogmaty wiary, dają oświatę połowiczną, gdyż zmuszeni są przeczyć w wielu punktach najoczywistszej prawdzie. To samo należy powiedzieć o wszelkich liberalizujących prądach, niezgodnych z zasadami prawdziwej wiary. Gdyby np. w Prusach panowała prawdziwa oświata, oparta na religii, nigdyby nie mogły przejść w ciałach ustawodawczych ustawy tak sprzeczne z duchem chrześciańskim, jak wywłaszczenie z ziemi i języka. To też stronnictwo centrowe, opierające się na zasadach katolickich, odrzuciło te zamysły bez najmniejszego wahania.

My Polacy na ogół przywiązani jesteśmy do wiary ojców. Jednakże i u nas nie brak prądów liberalnych. Starczy najzupełniej wczytać się w niektóre pisma nasze zakordonowe, by poznać ilu kanałami i u nas płynie duch niewiary i fałszywa oświata.

Zapomnieć nie należy, że posiadamy stronnictwa całe, których program nie we wszystkich częściach zgodny jest z zasadami wiary naszej. Mamy socyalistów rozmaitych odcieni, postępowców nie odnoszących się z zbytniemi sympatyami do Kościoła, nareszcie słynną, jedynozbawczą narodową demokracyę, która Kościołowi wyrządza ten „zaszczyt," że go uznawać raczy, jako instytucyę narodową, czem Kościół oczywiście nie jest i być nie może, bo Bóg go chciał mieć instytucyą Boską i ogólnoludzką. Ta sama narodowa demokracya mierzy zło i dobro nie według zasad wieczystych i niezmiennych, lecz według wskazań ciasnego oportunizmu rzekomo narodowego. U niej „egoizm narodowy" ma być miaromierzem czynów i zaniechań, a nie chrześciańskie zasady miłości Boga i bliźniego.

Mamy więc i my swych wolnodumców, socyalistów, liberałów i nacyonalistów, a wszyscy na swój sposób chcieliby zbawiać lud i narzucają mu się na opiekunów.

O tem jednak pamiętać winniśmy, że my daleko więcej od innych narodów strzedz się powinniśmy fałszywej oświaty, gdyż dla nas jej skutki daleko niebezpieczniejsze.

U nas w zaborze pruskim ucisk hakatystyczny nie pozwala na wybujanie ducha partyjnego. Lud nasz bardziej oświecony, głębiej religijny wskutek tego niż w dwóch dalszych zaborach, mniej jest podatnym materyałem do rozmaitych eksperymentów sekciarsko-politycznych. Dla tego też u nas prądy sekciarskie — lubo są — to jednak nie wysuwają się z otwartą przyłbicą na widownię, natomiast milczkiem przygotowują grunt dla przyszłej akcyi jawnej i organizacyjnej.

Urzeczywistnieniu tych planów przeszkodzić może jedynie dobra akcya oświatowa pomiędzy ludem.

Lud jest potęgą wielką. Ta strona zwycięży, po której stanie lud. To też wszystkie żywotne stronnictwa starały się o popularność. Zdobyć lud dla swych celów było zawsze hasłem wybitnych praktycznych polityków. Tak było w starożytnej Grecyi i Rzymie, tak jest dziś w nowoczesnych społeczeństwach.

Niestety zawsze twardą walkę mieli ci, którzy szli do ludu w imię prawdy. Prawda bowiem ma tylko jedno jedyne oblicze. Kłamstwo zaś ma tych oblicz tysiące i odznacza się proteuszową zmiennością. Oto, dlaczego zawsze prawdzie trudno było walczyć z fałszem. Lud zaś w wielkiej części — o ile nie czyta dobrych gazet — jest bardziej przystępny dla demagogów, obiecujących złote góry, niż dla rzetelnych polityków, przedstawiających rzeczy w świetle prawdy.

Ponieważ tak jest, należy się z tem liczyć. Należy zdzierać ustawicznie maskę obłudy i kłamstwa z fałszywych lub zbłąkanych proroków i bezustannie głosić prawdę. Przedewszystkiem zaś należy niestrudzenie pracować. Centnar gadania i pisania nie wart łóta rzetelnej pracy publicznej. Praca ta zaś, jeżeli ma działać werbująco na lud, powinna namacalnie temu ludowi służyć, i, co także rzecz ważna, powinna być w stosowny sposób reklamowana.

To co tu mówimy, powiedziane jest ogólnie i nie dotyczy specyalnie zaboru naszego. Nie można powiedzieć, żeby u nas chwilowo przeważały jakieś złe i niebezpieczne wpływy. Owszem, pod obuchem hakatystycznym, milknie to, co nas dzieli, a wysuwa się na plan pierwszy to, co nas łączy. Im srożej nacisk hakatystyczny na nas działać będzie, tem silniej się będziemy skupiali, tem mniej będziemy mieli chęci luzować naszą spójnię.

Pominąwszy więc drobnostki, należy powiedzieć, że można być zadowolonym z obecnego położenia naszych spraw wewnętrznych u nas, jednakże, kto w przyszłość patrzeć zechce, ten nie może oczu zamykać na konieczność rzetelnej pracy dla ludu, szczególniej teraz, gdy wywłaszczenie językowe lud nasz, w pewnej części ubezwładni.

Przytem nie należy sobie stawiać zbyt wysokich celów. Nie trzeba się zrażać niepowodzeniami. Niechaj tylko każdy zrobi to, co powinien i co może, a uczyni dosyć. Niemcy mają dobre wyrażenie: Kleinarbeit. W tem my zawsze byliśmy słabi. Zabierzmy się rączo do tego rodzaju pracy, a przekonamy się, że nie będzie ona daremną. Nie zapominajmy też o rozszerzaniu czasopism i gazet polskich. Po dziś dzień dobre katolickie i narodowe pismo, uprawiające oświatę, winno się znajdować w każdym polskim domu.

Co się przez butę i bezład zwaliło, to podźwigną zaparcie się siebie, wiara i praca cicha.

Wojciech Dzieduszycki.

* * *

Pokora i ofiara, ach! to jedyne skrzydła, któremi dusza ludzka wznieść się może w sferę skutecznej pracy, olbrzymiej siły i cudów dziejowych.

Narcyza Żmichowska.

Zamordowanie namiestnika Galicyi.

Ze Lwowa otrzymaliśmy w ubiegłą niedzielę wieczorem wieść straszliwą, przejmującą zgrozą każdego, kto nie wyzbył się wszelkiego uczucia ludzkiego.

Namiestnik Galicyi, Andrzej hr. Potocki, zginął z ręki skrytobójcy. Oto bliższe szczegóły potwornej i haniebnej zbrodni: W ubiegłą niedzielę około godz. 1-szej w południe w sali audyencyjnej zamordował ruski akademik, Mścisław Siczyński, namiestnika Andrzeja hr. Potockiego trzema strzałami z rewolweru w czoło.

Namiestnik umarł o godzinie 3-ciej minut 20 popołudniu.

Sprawca aresztowany z butną miną zawołał: to za krzywdy wyrządzone narodowi ruskiemu — to za wybory!

Jest synem ruskiego księdza, dawniejszego posła do sejmu, ma 21 lat. Zamiar zamordowania namiestnika powziął przed rokiem podczas procesu ruskich akademików o demonstracye na lwowskim uniwersytecie, a więc na długo przed tegorocznymi wyborami.

Ostatnie słowa umierającego brzmiały:

Polecam donieść cesarzowi; „Namiestnik, jako wierny sługa swego pana zginął na powierzonym sobie najmiłościwiej posterunku.“

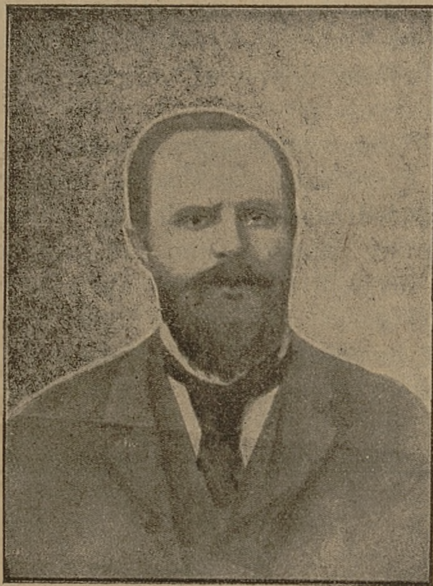
Cesarz Franciszek Józef przesłał wdowie po zamordowanym namiestniku telegram, wyrażający głębokie współczucie.

W mieście wywołała ohydna ta zbrodnia piorunujące wrażenie oraz powszechne oburzenie.

* * *

Morderca namiestnika był słuchaczem filozofii na uniwersytecie wiedeńskim. Prosił on o posłuchanie pod pozorem, iż stara się o posadę. Zaraz po jego wejściu do sali audyencyjnej usłyszano trzy strzały. Gdy służba przybiegła, zastano namiestnika ranionego śmiertelnie; jeden pocisk ugodził go w głowę, dwa inne w ramię i nogę, Tylko na chwilę odzyskał umierający przytomność i z chwili tej skorzystano, aby go zaopatrzyć w ostatnie Sakramenta. U łoża śmierci byli: rodzina namiestnika, marszałek krajowy hr. Badeni, arcybiskup Bilczewski, biskup Bandurski, komendant korpusu hr. Auersperg, prezydent miasta Lwowa, obydwaj wiceprezydenci namiestnictwa i wiceprezydent szkolnej rady krajowej.

Podczas przesłuchów policyjnych oświadczył morderca, że zamach popełnił na własną rękę i że nie ma wspólników, oraz że nie uczynił tego z pobudek osobistych, lecz politycznych. Siczyński, który już przed kilkoma laty skazany został za wykroczenia na



† Andrzej hr. Potocki.

więzienie, uchodził w narodowych ruskich kołach studenckich za gorliwego agitatora.

Matka mordercy została także uwięzioną; prócz niej uwięziono jeszcze kilka innych osób.

Brat mordercy popełnił w hotelu samobójstwo dziesięć minut przed zamachem. Prawdopodobnie wiedział on o zamiarach swego brata, który z planem morderstwa nosił się już dawniej; pierwotnie chciał namiestnika zastrzelić podczas przejażdżki, nie uczynił tego rzekomo z przyczyny, aby nie zabić osoby innej.

Równocześnie donoszą, że policya uwięziła wielu studentów ruskich, chociaż morderca oświadczył, iż nie miał wspólników. Siczynski przeniósł się z lwowskiego uniwersytetu do Wiednia i tam zapisał się na kilka semestrów.

* * *

W ubiegły wtorek od samego rana panował niezwykły ruch na wszystkich ulicach Lwowa, przez które przechodził kondukt żałobny. Po drodze do kościoła Bernardynów dzieci szkolne utworzyły szpaler. Przed kościołem zebrali się przedstawiciele najwyższych władz, wszyscy urzędnicy namiestnictwa i liczni posłowie. Przed pałacem namiestnika wygłosił marszałek krajowy hr. Badeni, gdy trumnę wyniesiono, głęboko odczutą mowę żałobną. Następnie uformował się kondukt z licznem duchowieństwem na czele. Jako zastępca cesarza przybył nadworny mistrz ceremonii hr. Chołoniewski. Za nim postępował w pochodzie prezes ministrów bar. Beck w otoczeniu kilku ministrów. Trumnę ustawiono na katafalku w kościele Bernardynów.

* * *

Andrzej hr. Potocki urodził się w roku 1861 w Krzeszowicach z ojca Adama i matki Katarzyny z hrabiów Branickich. Szkoły średnie ukończył w Krakowie, studya prawnicze odbywał na wszechnicach Jagiellońskiej i w Pradze. W roku 1884 uzyskał stopień doktora praw w Krakowie, a promocya jego odbyła się „sub auspiciis imperatoris.“ Jest to w Austryi najwyższe odznaczenie naukowe, a dostępują go ci tylko, którzy w ciągu wszystkich studyów, tak gimnazyalnych jak uniwersyteckich, wykazali stopnie celujące i złożyli egzaminy ściśle „summa cum laude.“

Po ukończeniu studyów zamierzał poświęcić się karyerze dyplomatycznej i rozpoczął ją jako „attache“ przy austro-węgierskiej ambasadzie w Madrycie. Zgon przedwczesny wszakże jego brata Artura, ordynata krzeszowickiego, który nie pozostawił potomka męskiego, zniewolił go do porzucenia służby państwowej. Powróciwszy do kraju, objął zarząd dóbr krzeszowickich i dóbr staszowskich w Galicyi, oraz klucza międzyrzeckiego w Królestwie Polskiem. W roku 1891 wybrany z kuryi gmin wiejskich powiatu chrzanowskiego do sejmu, dał się poznać jako gruntowny znawca spraw krajowych i był generalnym referentem budżetu krajowego. W roku 1897 otrzymał mandat do rady państwa. We wrześniu roku 1901 mianowany po ustąpieniu hr. St. Badeniego marszałkiem kraju, odznaczał się w ciągu swojego urzędowania umiejętnym sposobem prowadzenia obrad sejmowych, rozległą wiedzą, obejmującą najdrobniejsze szczegóły administracyi krajowej, oraz żelazną pracowitością. Namiestnikiem Galicyi mianowany został dnia 15-go czerwca 1903 roku, po ustąpieniu Leona hr. Pinińskiego.

Andrzej hr. Potocki był trzydziestym z rzędu namiestnikiem Galicyi od czasu przyłączenia tej części Rzeczypospolitej Polskiej do Austryi. Godność tę sprawowało także dwóch członków rodziny cesarskiej, mianowicie arcyksiążę Franciszek (w roku 1809) i arcyksiążę Ferdynand d'Este (r. 1832—1846). Z Polaków byli namiestnikami: Wacław Zaleski (1848—1849), Agenor hr. Gołuchowski (po

trzykroć); Alfred hr. Potocki; Filip Zaleski (syn Wacława); Kazimierz hr. Badeni, Eustachy ks. Sanguszko i od roku 1898 Leon hr. Piniński.

* * *

Straszna zbrodnia popełnioną na namiestniku Galicyi do głębi wstrząsnęła każdem sercem polskiem. Pod kulami bandyty ruskiego rozpolitykowanego hajdamaki-studenta padł mąż stanu, którego nacyonaliści polscy pomawiali o zbytek uległości dla nieuzasadnionych pretensyi ruskich, padł przedstawiciel cesarza i rządu centralnego austryackiego, niewinna ofiara nacyonalistycznego szału opętańców ruskich, podniecanych w swych zachciankach przez agentów zagranicznych.

Zbrodnia to równie potępienia godna, jak niemądra i bezcelowa.

Ulg politycznych i jakichkolwiek bądź innych nie dochodzi się rewolwerami, nożami lub pałką, lecz usilną pracą i argumentem przekonywającym, a przedewszystkiem celowem działaniem, skierowanem do podniesienia własnego społeczeństwa i nadania mu takiej siły moralnej i materyalnej, że przed nią sztuczne zapory ustąpić muszą.

Rewolwery, pałki, noże i bomby nie popychają świata naprzód, lecz wstecz. Rząd, któryby przed takimi argumentami miał się cofnąć, nie byłby wart nazwy rządu. Każdy napór i ten, który od dołu pochodzi, musi być przygotowany na odpór z góry. Takiem jest prawo natury i takiem pozostanie. Swobodę wywalcza się powoli, stopniowo, krok za krokiem, nie gwałtem i nie od razu.

Zresztą położenie Rusinów w Galicyi jest w porównaniu z naszem n. p. tak wprost świetne i olśniewające, że zupełnie pojąć nie można, jak mogło być pozorem takiego czynu. Rozumieć można czyny rewolucyonistów rosyjskich, czynu ruskiego łotra zrozumieć niepodobna.

Może się teraz otworzą oczy hakatystom naszym, może przejrzą, jakiego to rodzaju ludźmi są ich pupile ruscy w Galicyi, których ustawicznie skrapiają krokodylowemi łzami, zjadając tymczasowo nas na surowo.

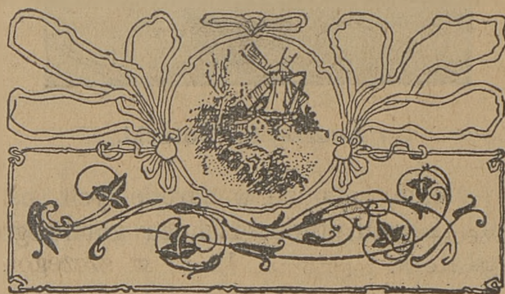
Straszna zbrodnia lwowska jest pouczająca. Wykazuje ona dokąd wiedzie podszczuwająca robota demagogiczno-nacyonalistyczna, wykazuje, jakie owoce przynosi roznamiętnianie, rozwydrzanie młodzieży, buntowanie jej przeciw wszelkiemu autorytetowi, przeciw każdemu, kto inaczej myśli i czuje, niż się to podoba demagogicznym frazesowiczom, krzykaczom i kretom politycznym.

Hr. Andrzej Potocki umierając ostatnie słowa zwrócił do cesarza. Umarł, jako wierny sługa swego pana, oddany mu nie tylko zewnętrznie, formalnie, lecz sercem i duszą całą. Ostatnie słowa namiestnika Galicyi są nietylko do głębi wzruszające, lecz tkwi w nich głęboka nauka. Kto się z nich chce czego naczyć, nauczyć się może.

Powiedzą mu one: takimi są Polacy, jeżeli się ich traktuje po ludzku, z ufnością, dobrocią, miłością i sprawiedliwością.

Poszanowaniem praw polskich zdobył Franciszek Józef serca Polaków i sprawiedliwością najlepiej zabezpieczył swe państwo i umocnił granice.

Niechajby katolicka Austrya była przykładem dla Prus i Rosyi, w których to państwach wciąż jątrzy się bolączka polska, a w Prusach stale się zaognia.



Nieco o Czechach.

II.

Z ludów słowiańskich prócz Serbów łużyckich i Słowaków najbliżsi nam są Czesi. Język ich po pewnem wsłuchaniu się w niego zrozumiały łatwo dla każdego Polaka. Różnica pomiędzy językiem polskim a czeskim mniejsza o wiele aniżeli pomiędzy narzeczami niemieckiemi np. pomiędzy gwarą dolno-niemiecką „platt“ a szwabskimi dyalektami. Jeśli zaś dziś między polszczyzną a czeszczyzną ujawniają się pewne różnice, pochodzi to głównie ztąd, że czeszczyzna po zalewie niemieckim od początku XVII stulecia nierozwijała się aż do połowy XIX wieku literacko i już przedtem pod silnym wpływem germanizacyi cierpiała nie mało, podczas gdy język polski z wyjątkiem okresu makoronistycznego, w którym go łacina straszznie kaziła, rozwijał się ciągle mimo wszelkich nieszczęśliwych kolei, jakie naród polski przechodził.

Był czas, w IX i X wieku, kiedy nie było prawie żadnej różnicy pomiędzy obydwoma językami. Polski lud rozumiał całkiem dobrze czeskie kazania. Z Czech też przyszło chrześcijaństwo do Polski a z niem rozgaszczali się czescy księża w Polsce jak w domu, jak gdyby znajdowali się pomiędzy swoimi. Wszak św. Wojciech, którego zwłoki spoczywają w Gnieźnie, był Czechem rodowitym. O bliskiem pokrewieństwie obydwóch języków świadczy jeszcze okoliczność, iż między polszczyzną a czeszczyzną nawet dziś niema odgraniczenia językowego tj. iż nikt nie jest w stanie oznaczyć mu pogranicza gdzie się język polski kończy a czeski zaczyna. Na Śląsku bowiem albo raczej na Morawach przechodzi zupełnie nieznacznie polszczyzna w czeszczyznę spływając jedna w drugą stopniowo. W polskich gwarach na pograniczu śląsko-morawskiem czuć właściwości czeszczyzny a tak samo w pogranicznych gwarach czeskich na Morawach właściwości polszczyzny, co tak dalece idzie, iż gwary morawskich Lachów i Wałachów śmiało można by poczytać za polskie narzecza a nawet w gwarach morawskich Hanaków, dalej wysuniętych na zachód i Słowaków morawskich stykających się z czysto czeskiemi plemionami dużo spotkać można właściwości języka polskiego.

Dlatego nie można się dziwić, iż za czasów naszych pierwszych Piastów: Mieszka I, Bolesława Chrobrego, Mieczyława II a nawet i później jeszcze pojęcie państwa polskiego i czeskiego nie było ściśle określone i władzcy naszego narodu jako też władzcy czeskiego narodu nie mogli odróżniać swego od sąsiednio pobratymczego tak dalece, iż Czesi władali Krakowem i Śląskiem a nawet sięgali ku Gnieznu, Polacy zaś, za czasów Bolesława Chrobrego, panowali w Czechach i na Morawach, które to ostatnie dopiero za Mieczysława II przypadły Czechom. Jeszcze Jan Luksemburczyk, jako władzca Czech nosił tytuł króla polskiego, czemu położył kres dopiero ostatni Piast polski Kazimierz Wielki na podstawie układu z królem czeskim ustępując mu Śląsk.

Przyrodzona przynależność obydwóch narodów ujawniała się kilkakrotnie w dążeniu do unii Polski z Czechami. Narodowy król czeski Jerzy Podiebrad testamentem przekazał swemu narodowi połączenie z Polską a unia Czech z Polską byłaby istotnie dokonaną gdyby jej nie był przeciwdziałał Zbigniew Oleśnicki. Był atoli czas, w którym Jagiellonczyk zasiadał na tronie czeskim a czeski król Wacław nosił koronę polską. Połączeniu się Czech z Polską stała zawsze w drodze intryga niemiecka, ujawniająca się od wieków do dni dzisiejszych wszędzie,

gdzie tylko zanosi się na zgodę i jednoczenie Słowian. Rozdział bowiem i niezgoda Słowian stanowią od wieków spiżową podstawę dla wzrostu i potęgi Niemiec. Że też Słowianie nie są mądrzy po szkodzie!

Od Czechów, którzy już stali nad brzegiem przepaści niemieckiej, wyszła myśl wzajemności słowiańskiej, myśl, niestety zawsze jeszcze błąkająca po manowcach teoryi, oderwanej od praktycznego zastosowania. Podstawę naukową stworzyli polscy uczeni slawiści, jak Jan hr. Potocki, Rakowiecki, Kucharski a w szczególności Wawrzyniec Surowiecki, który swojemi badaniami starożytności wyprzedził słynnego czeskiego uczonego Szafarzyka a właściwie pobudził go na stworzonej przez siebie podstawie do dalszych badań, co Szafarzyk w pismach swoich wyraźnie potwierdza. Z przeszłości tyle pouczającej snuto naukę na przyszłość. Niezgodą zamieniła się północno-zachodnia Słowiańszczyzna w olbrzymie cmentarzysko, snowano więc z tego wniosek, leżący jakoby na dłoni, iż zgodą może dojść do lepszej przyszłości.

Palacky i Rieger a także obydwaj Gregrowie, poseł dr. Edward i Juliusz, redaktor „Narodnich Listów", byli głównymi orędownikami wzajemności słowiańskiej usiłując przenieść ją z dziedziny teoryi w dziedzinę praktyki przez zbliżenie ludów słowiańskich do siebie i nastrojenie i przygotowanie ich polityki do tej głównej, podstawowej zasady.

Pamiętnym w dziejach ludów słowiańskich pozostanie na zawsze kongres słowiański, odbyty w r. 1848 w Pradze, w którym polscy przedstawiciele bardzo czynny brali udział.

Odtąd stolica czeska stała się ogniskiem, z którego wciąż wychodzą dążności skierowane ku budzeniu i szerzeniu wzajemności słowiańskiej. W tym celu odbywają się w Pradze od czasu do czasu okazałe i wspaniałe uroczystości narodowe z cechą ogólnie słowiańską jak: wielka uroczystość jubileuszowa Palackyego, wystawy (etnograficzna i krajowa), kongres słowiańskich dziennikarzy, zloty wszechsłowiańskie sokołów itp., które ściągają do Pragi przedstawicieli wszystkich ludów słowiańskich i dają im sposobność do wzajemnego zapoznawania się i zbliżenia do siebie, jako też do wymiany myśli. Zjazdów tych główną korzyścią dotychczas jest, iż ludy słowiańskie, które się dotychczas z wyjątkiem pozostających z sobą w styczności prawie wcale nie znały, zapoznają się ze sobą, jedne obznajamiają się z stosunkami drugich, co zawsze oznacza pierwszy krok na drodze ku wzajemności słowiańskiej, gdyż bez tego musiałaby pozostać wiecznie teoryą oderwaną, zawieszoną jako ideał niezniszczalny między niebem a ziemią. Ponadto niestety niema dotychczas do zaznaczenia w kierunku wskazanym żadnego innego pomyślnego wyniku a nawet wzajemna znajomość stosunków słowiańskich nie zrobiła jeszcze wielkich postępów. Przyczyna zastoju pod tym względem tkwi w okoliczności, iż podczas uroczystości, przy stołach biesiadnych główną rolę odgrywa gorące uczucie i podniecona wyobraźnia mniej zaś zimna rozwaga i rozum, wskazujące, że wzajemność słowiańska dopiero wtedy może wejść w życie, jeśli zostanie programowo dokładnie określoną, jeśli będą ustanowione zasady uwzględniające żywotne potrzeby i interesy ludów słowiańskich i podług tych ustanowione będą, że się tak wyrażę, międzysłowiańskie stosunki albo raczej ludy słowiańskie zbiorowo okażą chęć i niezłomną wolę uporządkowania ich podług zasad sprawiedliwości i braterstwa. Nieodzownie wymagają naprawy stosunki rosyjsko-polskie na pierwszem miejscu, następnie zaś chorwacko-serbskie i polsko-ruskie.

Co do tego nie mogę nie uczynić Czechom zarzutu, mianowicie dziennikarstwu czeskiemu, które w szczególności co do stosunków rosyjsko-polskich i polsko-ruskich czerpiąc jednostronnie swe wiadomości z źródeł rosyjskich i ruskich, są jak najgorzej poinformowane, te swoje złe informacye szerzą między narodem czeskim i tym sposobem mącą trzeźwy sąd o nich w opinii publicznej czeskiej, co z pewnością złe oddaje usługi ogólnej sprawie słowiańskiej. Z niektórych dzienników czeskich przebija wręcz ignorancya. Niedawno temu czytałem np. w jednym z najwpływowszych dzienników czeskich, że Lwów jest „ruskiem miastem". Bezsprzecznie jest Lwów stolicą halickiej Rusi, lecz także stolicą Galicyi posiadającej większość polską, a co do swej ludności wynoszącej około 180.000 dusz posiada w tem około 16.000 Rusinów, 20,000 Niemców i przeszło 140,000 Polaków. O tem, o czem przecież łatwo się dowiedzieć, nie wiedziano w wielkim czeskim dzienniku, inaczej nie mogłoby się w nim pojawić niedorzeczne twierdzenie o „ruskim charakterze Lwowa". Podobnie bywają oceniane stosunki rosyjsko-polskie, do których nadto bywa stosowaną bardzo mglisto i nieuchwytnie pojęta zasada o wzajemności słowiańskiej.

Nad tym dziwnym objawem należy tem bardziej ubolewać, gdyż właśnie Czesi byliby powołani odegrać w Słowiańszczyźnie rozjemczą rolę, oni, którzy posiadają szczerze słowiańskie serce, oni, od których myśl o wzajemności słowiańskiej wyszła i którzy z niestrudzoną gorliwością bez przerwy ją popierają i dla niej pracują.

Ten istotny obłęd pewnej części opinii publicznej czeskiej albo raczej jej powierzchowność i niedbałość można nazwać — nieszczęściem dla Słowiańszczyzny.

Z zadowoleniem trzeba zaznaczyć, iż w ostatnich latach uwydatnia się zwrot ku lepszemu. Od wojny japońsko-rosyjskiej zmniejszyło się znacznie wśród Czechów bałwochwalstwo dla rosyjskiego narodu, głosy sprawiedliwe i trzeźwo oceniające odzywają się częściej i czeska opinia publiczna zaczyna wyraźniej odróżniać rząd rosyjski, kierowany przez Niemców, od narodu rosyjskiego, równie uciskanego przez czynownictwo, jak ludność polska. Przy takim objawie można mieć nadzieję, że przyszłe zjazdy w Pradze — w roku bieżącym ma się odbyć kongres dziennikarzy słowiańskich w połączeniu z wystawą krajową — dodatnie będą miały znaczenie.

Poruszając powyżej ujemne strony pewnej części czeskiej opinii publicznej winienem zastrzedz się z góry, iż z przykrością to uczyniłem jedynie w wspólnym naszym interesie. Uważam bowiem w tem wielką zaporę na drodze wiodącej do zgody, do wzajemności słowiańskiej. Nie zmniejsza to bynajmniej moich żywych sympatyj dla narodu czeskiego, który uważam za nauczyciela w pracy narodowo-kulturalnej dla wszystkich narodów słowiańskich. Owoce tej pracy są tak olbrzymie, iż podziw budzą w całym świecie a właśnie o nich pragnę nieco bliżej pomówić w następnych listach.

G. Smólski.

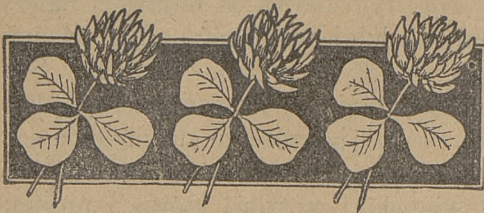
Przyszłość to trud. Nie zejdzie ona z nieba
Przez żaden cud, lecz zdobyć ją potrzeba.
I w służbę jej dać lata te zapału,
Co serca rwą w krainę ideału.
Kto czeka, ten na syna swego ramię
Spycha ten krzyż, pod którym sam się łamie,
I żądać śmie, by przyszłe pokolenia
Znów stary bój podjęły i cierpienia...

Marya Konopnicka.

* * *

Bądź pozdrowiona karmi, która żywisz

Kazimierz Tetmajer.



Tydzień polityczny.

Posłowie tak sejmowi, jak parlamentarni używają wywczasów, gdyż rozpoczęły się w zeszły czwartek ferye. Oprócz etatów, praw antypolskich i naprawy ustawy giełdowej nic poważniejszego izby nie załatwiły. Naprawę finansów rzeszy odłożono do szczęśliwszych czasów, nie chciano snać na zbyt twardą próbę wystawiać bloku, o którym powiedzieć należy, że nie źle go sobie książę kanclerz wytresował, gdyż wcale pokaźnie już aportuje. Czy będzie potrafił chodzić na dwóch łapach przy naprawie finansów, przyszłość wykazać musi. Wątpliwe to, boć finanse to nie polityka antypolska, to sprawa kieszeni i żołądka, a więc wysoce drażliwa.

Termina wyborów do przyszłego sejmu już rozpisane. 3-go czerwca odbędą się wybory wyborców czyli walmanów, ci zaś będą wybierali posłów na dniu 16-go czerwca. My Polacy mamy nadzieję wejść wzmocnieni liczebnie do sejmu, gdyż należy ufać, że kompromis centrowo-polski na G. Śląsku nie zawiedzie.

Podczas gdy cesarz z rodziną bawi na Korfu, książę Bülow pojechał na tydzień do Rzymu. Przyjmował go już król włoski na audyencyi, a jak słychać w środę przyjmie go i papież, z którym książę prawdopodobnie będzie rozmawiał o pogodzie, jeżeli prawda, co piszą gazety niemieckie, że kanclerz nie zamierza poruszyć sprawy obsadzenia tronu arcybiskupiego w Poznaniu, ani sprawy nominacyi niemieckiego kardynała kuryalnego, a będzie się miał także na baczności, by nie potrącić kwestyi opozycyjnego stanowiska partyi centrowej. Natomiast z kardynałem sekretarzem stanu Mery del Val będzie kanclerz konferował o polityce, lecz w sprawie obsadzenia stolicy św. Wojciecha natrafi na opór kardynała, gdyż Watykan pod żadnym warunkiem nie zgodzi się, by na stolcu prymasowskim zasiadł mąż taki, którego by ludność naszych dyecezyi przyjęła z niezaufaniem.

W Paryżu prezydent republiki p. Fallier czyni plany podróży reprezentacyjnych, które ma przedsięwziąć w przyszłych tygodniach. Prezydent odwiedzi monarchów: angielskiego, rosyjskiego i szweckiego. Będzie to pierwsza zagraniczna podróż głowy republiki francuskiej.

W senacie francuskim odrzucono projekt rządowy, dotyczący oddania funduszów mszalnych do rozporządzenia świeckich towarzystw dobroczynnych, któreby się z obowiązków wynikających z przyjęcia tych funduszów wywiązać nie mogły i nie chciały. Natomiast uchwalono fundusze te przekazać towarzystwom zajmującym się losem starych księży. W ten sposób przynajmniej ci, którzy fundowali te legata mszalne, nie zostaną po śmierci okradzeni z mesz za życia zakupionych. Ta uchwała, na którą się ostatecznie zgodził Briand,, zacięty socyalista i minister kultu, bardzo niepodoba się radykałom i innym zagrabiaczom majątków kościelnych. W porównaniu z francuskimi wywłaszczycielami, nasi pruscy wywłaszczyciele są prawdziwemi dziećmi. Ostatni bowiem płacą za to, co biorą — pierwsi natomiast biorą, lecz nic nie płacą.

We Francyi, która niejednym się zdaje być przystanią wszelkiej wolności i swobody, istnieją także bardzo niekulturalne prawa. Tak np. może tam rząd zamknąć bez ceregieli gazety wychodzące w innym, jak francuskim języku. Dotychczas wprawdzie zamknięto tylko jedną jedyną włoską gazetę w Nizzy, która rzekomo uprawiała zdradę państwa. To prawo tak bardzo podoba się pruskim hakatystom i posłowi Voltzowi, że koniecznie chciałby je także zaprowadzić w Niemczech. Oczywiście, że panowie hakatyści mają na myśli gazety polskie. Nie chcemy się bawić w proroctwa, lecz głowy nie dalibyśmy za to, że taka ustawa nie przejdzie. Od czasu, jak w parlamencie niemieckim rozstrzyga oportunizm liberalny, wszystkiego się spodziewać można. Po obecnym parlamencie można się obawiać bolesnych niespodzianek. Przyszły parlament może będzie lepszy, boć spodziewać się należy, że wolnomyślni pójdą w duraki, a miejsca ich znowu zajmą socyaliści. Przez cztery lata jednak mogą nam wolnomyślni nawarzyć takiego piwa, że nam zęby ścierpną.

W Portugalii skończyły się wybory. Zarazem pokazało się, jak słabe są tam wpływy republikańskie. Jeszcze niedawno temu pisały gazety, że republikanie mieli zamiar zrzucić króla i obwołać republikę. Zamiary być mogły, lecz siły ku temu nie było. To pokazało się przy wyborach. Wprawdzie postawili oni nie mniej jak 86 kandydatów poselskich, lecz przeprowadzili tylko skromną liczbę 5 posłów. Jestto bardzo niewiele, jak na partyę tak ambitną. Natomiast regeneradorzy zyskali 62, progresiści 59 posłów. Katoliccy narodowcy portugalscy tylko 2 krzesła zdobyli, zwolennicy Franc'a 3. Przy głosowaniu będą rozstrzygali niezawiśli (17 posłów) i niezależni progresiści posiadający 7 mandatów.

W Rosyi uchwaliła Duma w pierwszem czytaniu wniosek rządowy, żądający 6900.000 rb. na koszta zaprowadzenia powszechnego nuuki elementarnej.



Przegląd prasy.

„Wiarus Polski," organ posła Jana Brejskiego, pisze o poznańskim organie narodowo-demokratycznym, co następuje:

„Wielki „zaszczyt" spotkał „Kuryera Poznańskiego".

„Jak wiadomo, zarzucił „Kuryer Poznański" niedawno Polakom na obczyźnie, iż o lepszą opiekę starają się nieszczerze, i że wielu z tych, którzy czynią starania o lepszą opiekę duchowną, cieszy się w gruncie rzeczy z tego, że żądaniom ich nie staje się zadość. Napiętnowaliśmy ten niesłychany zarzut wówczas tak, jak na to zasłużył.

„Powracamy do sprawy tej dla tego, ponieważ obecnie stało się to, co wówczas przewidywaliśmy. W artykułach oszczerczych, które w przededniu rozpraw parlamentu niemieckiego nad ustawą o zgromadzeniach i stowarzyszeniach pojawiły się w prasie hakatystycznej jak „Dortmunder Zeitung", „Schlesische Zeitung" i nnych o ruchu narodowo polskim w Westfalii, *wymienione pisma polakożercze, powołały się na owe zarzuty „Kuryera Poznańskiego" i użyły je jako „dowodu," że Polakom na obczyźnie należy zamknąć usta na wiecach.*

„Wystarczy obecnie stwierdzić fakt ten, a „Kuryer Poznański" niechaj sam sobie powie, co czuje i sądzi każdy Polak wobec faktu tego".

Z naszej strony tylko stwierdzić należy, że istotnie pisma hakatystyczne z wielką lubością powołują się na szkodliwe artykuły „Kuryera Pozn." i wyzyskują je na niekorzyść naszą, co już kilkakroć zaznaczyliśmy. Są zawsze jeszcze pomiędzy nami ludzie, którzy z zapałem, godnym lepszej sprawy, napędzają zające do kuchni hakatystycznej. W zarzutach zaś, że pewne koła polskie cieszą się z niepowodzeń polskich, „Kuryer Pozn." bardzo jest mocny. Przyłapał go swego czasu na

takim zarzucie katowicki „Górnoślązak“ a „Dziennik Pozn.“ w zupełności ówczesne wywody „Górnoślązaka“ potwierdził.

Gdybyśmy chcieli być złośliwi, moglibyśmy w stylu „Kuryerowym“ napisać co następuje: „Kuryera Poznańskiego“ nikt w politycznie myślących kołach poważnie nie bierze. Byłoby dobrze, gdyby *redakcya* „Kuryera Poznańskiego“ zechciała liczyć się więcej z dobrem imieniem swego współwydawcy p. dra Szymańskiego, który się chyba z tą szkodliwą i niemądrą robotą redakcyi solidaryzować nie może.

* * *

W *„Dzienniku Berl.“* czytamy:

„Przeciw podwójnym mandatom poselskim zwraca się bardzo energicznie „Germania“ a za nią agrarna „Deutsche Tagesztg.“ i liberalny „Berl. Tageblatt“. „Germania“ udowadnia, że jest rzeczą wręcz niemożliwą, żeby ktoś, który posiada dwa mandaty, mógł w parlamencie i w sejmie należycie wypełniać swój obowiązek.

„Najzupełniej to zdanie podzielamy i co do naszych posłów, na których działalność z bliska tu patrzymy. Nie może należycie sprostać obowiązkom, kto ma podwójny mandat. Nie powinno go się też powierzać ludziom, którzy są niemymi, i w Kołach naszych stanowią raczej balast aniżeli siłę.“

Na wywody „Dz. Berl.“ zgadzamy się do pewnego stopnia. Uważamy za potrzebne, by z-reguły posłowie tylko po jednym mandacie otrzymywali. Jednakże w interesie dostatecznego kontaktu obu kół poselskich należy życzyć, by w *stosownych granicach* zatrzymano dwumandatowość. Również nie zgadzamy się na to, żeby posłowie nie wygłaszający mów w plenum izby stanowili w kołach poselskich balast. Główna praca posłów nie odbywa się w pełnej izbie, lecz w Komisyach. Niechaj więc posłowie nasi podzielą się tak, żeby ci, którzy mają odpowiedni dar wymowy, pracowali w plenum, ci zaś, którzy odznaczają się należytą znajomością rzeczy, niech pracują cicho w Komisyach. Ludzi, którzyby tworzyli balast w kołach poselskich, a byliby takimi: krzykacze, frazesowicze, niedojdy i niedołęgi polityczne, oczywiście na posłów wybierać nie należy.

* * *

Z powodu zamordowania namiestnika galicyjskiego pisze *„Posener Tageblatt“* takie rzeczy, że pytać się trzeba na seryo, czy stracił zdrowe zmysły, czy też resztkę sumienia. Na próbę przytaczamy tylko kilka zdań:

„Galicya jest to kraj, gdzie polskość ma nieograniczoną (?) wolność w dziedzinie politycznej i gospodarczej. Gdyby pruscy Polacy tylko dziesiątą część tego znosić musieli, co Niemcy i Rusini znosić muszą w Austryi, tem państwie narodów, natenczas możnaby mówić o „pruskiem barbarzyństwie“ i o „pruskiej niewoli“. Mimo wywłaszczenia i paragrafu językowego, cieszą się Polacy w Prusach taką wolnością, pewnością i porządkiem prawnym, jakiego w Galicyi dać nie mogą i nie chcą.“

Nun schlägt's dreizehn! zawołałby berlińczyk. Czy „Pos. Tagebl.“ nie wstydzi się pisać takich herezyi? Patrz, miły czytelniku, jak ta gazeta hakatystyczna informuje swoich czytelników. Włosy na głowie powstają. Wobec twierdzeń „Pos. Tagebl.“ oświadcza „Praca“: Niechaj Prusy przyznają Polakom *tylko dziesiątą część tych swobód*, jakie mają Niemcy i Rusini w Austryi i w Galicyi, a stosunki się od razu polepszą. Nie byłoby bowiem wtedy ustaw wyjątkowych, mielibyśmy przystęp do urzędów, moglibyśmy gadać, jak nam „dziób urosł“ i otrzymalibyśmy szkoły polskie.



Nieco o krytyce i krytykach.

Pod wrażeniem krytyk, zamieszczanych w pewnem piśmie, pisze nam jeden z szanownych czytelników, co następuje:

„W całej literaturze naszej nie trafiło mi się jeszcze znaleść człowieka, któryby tyle tylko miał sumienia, żeby pochwalić rzecz pochwały godną, gdy z jej autorem jest na bakier. Krytyka zresztą dzieł ludzkich jest najłatwiejszą z natury swojej; utwór człowieka musi mieć strony słabe i niedoskonałe; wyszukać ich nie trudno, powiększyć i rozszerzyć — nauczy trochę wprawy. — Jeśli myśl dobra, bijesz na wykonanie, jeśli wykonanie ma wdzięk, pomysł może być mniej trafny; — potem strona moralna przedmiotu, stanowisko autora w literaturze współczesnej, jego dążności, charakter pism itd. dostarczają zarzutów bez końca. — Święte to stare przysłowie jeszcze z czasów dysput teologicznych: plus negare potest asinus, quam probare philosophus, — co grzeczniej tłomaczyć możemy: łatwiej napisać pięćdziesiąt krytyk niż stworzyć jedno dziełko.“

Tyle nasz szanowny korespondent. Powyższe słowa są w pierwszej części bardzo twarde. Wobec tego należy dołączyć kilka uwag.

Źle byłoby, gdyby krytycy polscy byli tak niesumienni, jak to powyżej powiedziano. Wszakże taki Piotr Chmielowski, Stanisław Tarnowski, Włodzimirz Spasowicz, by wymienić tylko największych, także do krytyków należą, a chyba nie można im zarzucić stronności.

Jesteśmy przeciwnie zdania, że każdy szanujący się krytyk stara się być bezstronnym.

Jednakże nie zawsze jest bezstronnym.

Osobista sympatya lub antypatya znaczną odgrywa rolę. Ona to mimowoli zabarwia sąd człowieka. Każdy może zrobić na sobie to doświadczenie, że inaczej patrzy na błąd popełniony przez przyjaciela, inaczej, jeżeli wróg osobisty dopuści się winy. Tak jest w życiu prywatnem, tak jest w życiu publicznem, tak jest w sztuce, nauce a nawet w polityce.

I krytyk jest człowiekiem, a więc i on podlega tej sugestyi. Od moralnej wartości jego zależeć będzie, na ile jej się podda. Do pewnego stopnia poddaje się jej każdy człowiek. Niejeden stara się zgnieść wpływ tej sugestyi w sobie i popada w inną sprzeczność: staje się surowszym dla przyjaciela a pobłażliwszym dla wroga, niż tego bezstronność ścisła wymaga. Trudną, bardzo trudną rzeczą jest: sprawiedliwość.

Jakkolwiek by było od mężów, którzy dzierżą pióro i tem samem wpływają potężnie na opinię należy żądać sprawiedliwości, bezstronności.

Inna rzecz ulegać sugestyi, inna świadomie fałszować prawdę na niekorzyść bliźniego.

O ile pierwsze można wyrozumieć, uniewinnić do pewnego stopnia, o tyle świadomej stronności wybaczyć nie można. Dla takich szkodników nie ma wytłumaczenia, a jest tylko pogarda.

Nie wierzymy, żeby na to zasługiwała choćby nieznaczna część krytyków polskich.

Nie podzielamy również zdania, jakoby krytyka była rzeczą łatwą. Owszem jest trudną i tem trudniejszą do im większych się odnosi dzieł. Błędem jest mniemanie, że całe zadanie krytyka streszcza się w wyszukiwaniu wad i błędów tylko. Dobry krytyk wytknie wprawdzie usterki, lecz równocześnie uzasadni naganę. To nie zawsze bywa rzeczą łatwą, dla tego też zapewne tak często brak takiego uzasadnienia w krytykach dziennikarskich. Lecz nie na tem koniec: i zalety utworu podnieść i uwydatnić należycie trzeba.

Zły to krytyk, który tylko gani. To potrafi każdy śledziennik. Uwypuklić całe dzieło z jego zaletami i wadami, wyznaczyć mu właściwe miejsce w dziedzinie sztuki, czy tandety, przeżyć w sobie i podzielić się z czytelnikiem rezultatem tego przeżycia, oto zadanie krytyka. Na to jednak potrzeba nie tylko głębokiej i wszechstronnej wiedzy, lecz wielkiego uskrzydlonego ducha, który zdolen jest podążyć w te zawrotne sfery, kędy szybują duchy wybrane. Tak pojęta krytyka jest sama w sobie dziełem, może być nawet dziełem sztuki. Takiemi były krytyki Lessinga.

Lessingowie jednak nie rodzą się kopami. Za to tem obficiej obradza się ich surogat tj. recenzenci, reporterzy, beletryści, piszący o rzeczach dotyczących sztuki.

Publiczność żąda krytyk, więc sumienny nakładca stara się zaspokoić to naturalne pragnienie. W ten sposób powstają feljetony krytyczne. Można śmiało powiedzieć, że przeważna większość pisana jest przez osoby mało powołane do tej bądź co bądź ważnej czynności. Życzyć by należało, by ci, którym przychodzi pisać o rzeczach, na których się dostatecznie nie znają, uprzytomnili sobie, ile krzywdy, ile szkody wyrządzić mogą, jeżeli pofolgują zbytnio temperamentowi, jeżeli popuszczą wodze błyskotliwej frazeologii, wyprawiającej bezlitosne harce nad cudzą krwawicą, i cudzym kosztem starają się zaspokoić swą maleńką próżność autorską.

Trochę skromności, trochę taktu, a nie napisałoby się niejednego zdania drażniącego i niesprawiedliwego i nie znęcałoby się nad cudzą pracą.

To należy powiedzieć, że rozwielmożnił się obecnie dziki sposób pisania o cudzej pracy. Jeżeli się czyta, co o niejednym autorze i artyście, co o niektórych dziełach się pisze bezkarnie, a raczej w jak ubliżającym, aroganckim i bezczelnym tonie się czasami pisze, to trudno pojąć, że publiczność, czytająca owe elaboraty, toleruje te orgie bezmyślne spokojnie.

Niekiedy ma się wprost wrażenie, że pewien rodzaj piszących tylko czyha na ukazanie się jakiejś książki, lub dzieła sztuki, by zaprodukować całą swą bezmyślność i ordynarność, a nie można dość mocno nad tem ubolewać, że zawsze jeszcze znajdują się ludzie, którzy w podobnych bezeceństwach upatrują tęgość ducha, ciętość pióra i „bajeczny“ talent krytyczny.

Z drugiej strony ci sami, którzy tak pogardliwie odnoszą się do niesympatycznych sobie autorów lub artystów, tarzają się nierzadko w konwulsyach najwyuzdańszej czołobitności, jeżeli przydarzy się im bajać o „pokrewnych sobie duchach“.

Że panowie ci dla publiczności, dla której piszą, mają tylko najżywszą pogardę i występują wobec niej w roli natrętnych i lekceważących mentorów, któżby nie widział!

I krytyka obowiązują, nie mówiąc już o sprawiedliwości, te prawidła, które przyjęły się powszechnie w świecie ucywilizowanym i krytykowi bardzo do twarzy, jeżeli pisze grzecznie, z szacunkiem, jeżeli obchodzi się z krytykowanym tak, jak gdyby życzył, by się z nim obchodzono.



Śpiew i jego wpływ
na etyczne i estetyczne wychowanie.

Zamiłowanie do śpiewu jest człowiekowi niejako wrodzone. Dziecko w kolysce, słysząc czuły głos siedzącej przy niem matki, usiluje często jej wtórować, — w razie zaś trapiącej je jakiej dolegliwości, zapomina o bólu, i w końcu usypia.

Gdy już stanie samodzielnie na swych drobnych nóżkach i wyjdzie za próg swej izby, by i w gronie rówieśników szukać zabawy, przypomina sobie owe w kołysce słyszane melodye, powtarza je i stara się naśladować. Jako drobna dziewczynka, zostawiona w samotności, gdy sobie jakie zajęcie wynajdzie, dokonywa je przy akompaniamencie śpiewu. Dorastający młodzieniec lub dziewica, zwłaszcza w chwilach samotności, znajdują w śpiewie najsłodszą dla swych myśli, dla swych uczuć, dla swych marzeń rozrywkę, a często ukojenie dla zbolałego serca. Śpiewamy następnie w wieku dojrzałym, śpiewamy nawet w podeszłej starości. Jednem słowem, w każdem utrapieniu, w każdem nudnem zajęciu, na każdym stopniu umysłowego i fizycznego rozwoju, w każdem położeniu życia, śpiew jest naszym najulubieńszym i nieodstępnym towarzyszem.

Po wszystkie też wieki i czasy przywiązywano do śpiewu moc nadzwyczajną, moc czarodziejską. Mityczne podania o Orfeuszu, który potęgą śpiewu uśmierzał burze, a Amphion wprawiał w ruch kamienie, jeszcze po dziś dzień bywają powtarzane celem uobrazowania uroku i siły, jaki u starożytnych ludów śpiew na wzbudzenie i podniesienie sił etycznych wywierał. A owa legenda o Tyrteuszu świadczy także o wielkiej potędze śpiewu. Tyrteusz, wysoko ceniony poeta grecki, żyjący w VII. wieku przed Chr. był wsławiony swemi pieśniami wojennemi.

Gdy Spartanie prowadzili wojnę z Messeńczykami, a los oręża się ważył, prosili Ateńczyków o przysłanie im wodza. Ci za radą wyroczni delfickiej posłali im Tyrteusza, który, nie władając orężem, ani się znając na sztuce wojennej, swemi porywającemi i ognistemi pieśniami wojennemi tak natchnął i zapalił Spartan, że we wszystkich bitwach pokonali Messeńczyków. Jakkolwiek podanie to w naszych czasach budzi wątpliwości, jest rzeczą pewną, że pieśni wojenne Tyrteusza długo się utrzymały w pamięci młodzieży spartańskiej.

Spartanie nie lubiący ani nauk, ani sztuk pięknych, w wysokim wszakże stopniu kształcili młodzież w śpiewie, bo, jak słusznie utrzymywali, śpiew miał podnosić i podtrzymywać patryotyczne uczucia, zapalać młodzież do bohaterskich czynów i poświęceń. To też idąc do walki, szli jakby na jakie gody, śpiewając pieśni na cześć ojczy-

Z górnośląskich typów ludowych.



Trzej bracia Sokoli w towarzystwie wiejskiej dziewczyny także Sokolicy, ubranej w strój ludowy górnośląski. Mężczyzna obok niej siedzący ma również na sobie strój ludowy górnośląski, podczas gdy dwaj Sokoli stojący w tyle ubrani są w stroje sokole: pierwszy w codzienny, drugi w ćwiczebny.

zny bogów, a wiadomo powszechnie z jakim skutkiem przez kilka wieków szyki swoje bojowe sprawiali.

Wiemy także, że wojska Bolesławów przez kilka wieków zagrzewały się do boju pieśnią: „Boga-Rodzica, Dziewica, Bogiem sławiona Marya,“ którą jeszcze niektóre pułki w bitwie pod Grunwaldem, ale podobno ostatni raz zagrzmiały.

W najnowszych czasach dają nam Francuzi jaskrawy przykład i obraz potęgi i wpływu, jaki może na masy wywierać śpiew.

W czasie pierwszej Wielkiej Rewolucyi, gdy prawie cała Europa stała przeciw niej pod bronią, wojska francuskie, idąc z zapałem do walki, wszyscy jak jeden mąż huknęli w swą ognistą Marsyliankę, a nic im się oprzeć nie zdołało, bo gdzie stu walecznych padło, tam tysiące wstępowały w ich miejsce, a zawsze pod hasłem Marsylianki. (Choisy-le-Roi, miasteczko położone blisko Paryża, skąd pochodził autor Marsylianki Rouget de l' Isle). Sami nieprzyjaciele przyznawali, że przeciw takim zapaleńcom psują się wszelkie wysiłki daremne. Lecz i Rosyanie w czasie kampanii Węgierskiej 1879 r. dla podniesienia ducha w polskich pułkach, kazali przygrywać pod feldm. Paszkiewiczem ów sławny hymn legionów Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

A teraz przypatrzmy się ostatniej wojnie francusko-niemieckiej. Niemcy, jak to sami przyznają, idąc do boju, śpiewali swoje „Wacht am Rhein,“ lub „Heil dir im Siegeskranz,“ polskim pułkom zaś kazano przygrywać narodowe melodye, — a Francuzi? Francuzi tym razem szli niemo do walki. Rezultat zapasów z sobą tych dwóch narodów, wszystkim nam jeszcze pamiętny.

Zastrzegamy się wszakże przeciw insyunacyi, jakbyśmy twierdzili, że Francuzi „Marsylianką,“ a Niemcy „Wacht am Rhein“ bili nieprzyjaciół! Byłoby to w dalszym ciągu powtarzaniem owych trywialnych frazesów, że pod Sadowę zwyciężył nauczyciel elementarny, a pod Sedanem łacinnik. Przywodząc powyższe fakta, chcieliśmy tylko obrazowo zaznaczyć, że w najwyższych i rozstrzygających chwilach życia społecznego, tam, gdzie już nie o jednostkę, ale o szczęście i pomyślność całego narodu idzie, starano się śpiewem dodawać sobie odwagi, zapału i zachęcenia do ostatecznych wysileń i najwyższych poświęceń.

W obecnym pradzie czasu, w epoce grubego materyalizmu, usuwającego prawie zupełnie poezyę z życia; epoce, w której zwrócone są już w młodem pokoleniu głównie wszystkie dążności, aby rozwinąć i skierować władze jego umysłowe ku materyalnym interesom, wirując w pokłonie około złotego cielca, a ze szkodą tego, co piękne, szlachetne i idealne, — właśnie w naszym czasie mówię, powinniśmy godło tego, co uszlachetnia i podnosi serce i umysł młodzieńca, wysoko trzymać a przynajmniej młodzież zwracać ku owym ideałom wyższym i humanitarnym.

W późniejszym i dojrzalszym wieku, gdy będzie otoczona wirem i prądem pospolitego życia, dość jeszcze pozostaje jej czasu do zmienienia swych pojęć i dążności. Zostawmyż przynajmniej szkolnej młodzieży cokolwiek poezyi, która przez nic tak się nie uwydatnia, jak przez śpiew i poezyę.

Przez śpiew bowiem wyrażamy nasze uczucia radości, jako też i smutku. Słyszymy przeto zaintonowanie hymnu przy godach weselnych, jak z drugiej strony w chwili, gdy po stracie ukochanej osoby boleść serce nam rozdziera.

Niczem tak obrazowo jak śpiewem nie uwydatnia się etyczne i estetyczne usposobienie ducha; w człowieku, w którym moralna strona przeważa, nigdy przez jego usta nie popłynie sprośna piosenka, kiedy zaś z przeciwnem usposobieniem będzie miał upodobanie w karczemnych i rozpustnych obrazkach. Śpiew więc jest niejako zwierciadłem duszy człowieka.

Wiadomo powszechnie, że u ludów słowiańskich uczuciowość przeważną odgrywa rolę w charakterze ustroju ducha narodowego, która się znowu głównie w poezyi i muzyce ujawnia. W samej rzeczy, czyż może który naród w swych melodyjnych dźwiękach iść w porównanie z naszymi krakowiakami, kujawiakami i innymi jeszcze, jak je tam nazywają od odnośnej okolicy? Czyż nie oryginalną i porywającą ma melodyą polonez i mazur, — a jakże zachwycająca i do serca przemawiająca jest rzewność dumek ruskich.

Mimo tego daru przyrodzonego, mimo tej iskierki Bożej, — cóż nam się dziś przedstawia? Oto naród jakby oniemiał. Śpiewu u ludu już prawie nigdzie nie usłyszymy. Nie usłyszymy w szkole, nie usłyszymy po miastach, nie usłyszymy po wsiach, nie usłyszymy na godach weselnych, a nawet, — nie słyszymy w karczmach. Wszędzie zaległa posępna cisza. Ten tak wesoły i skory do objawów melodyjnych lud ogarnęła jakaś posępność, jakaś apatya, jakaś głucha ponurość, jakieś zwątpienie. U naszego chłopka nie usłyszysz już dziś ulubionej w polu śpiewki: „Śpiewaj skowroneczku, śpiewaj mój dzwoneczku, Na śpiewanie twoje skorsze wołki moje.“ — Sam tylko skowronek, trzepocąc skrzydłami ponad głową oracza, i wznosząc swe głosy — pod niebiosy, zdaje się wyzywać go do lubej i wtórowania mu miłej melodyi; ale ten, nieczuły na wszelkie ptasie zachęty, ze spuszczoną głową, w zadumie pogania biczem swe wołki. Czyżby może i jego już nowoczesny prąd czasu ogarnął, i zamiast popuścić wodze swej fantazyi i sercu, chodzi zatopiony w myślach za pługiem, obliczając nawpół korzyści, jakie mu przypadną z uprawianej gleby?! Nie, tak daleko jeszcze nasz lud nie ugrzązł w nowoczesnym materyaliźmie, jeszcze złoty cielec nie zbudował sobie tak stałych ołtarzy w jego zagrodzie, w jego chacie, żeby nasz kmiotek pokłony mu oddawał; — inne tu muszą być przyczyny.

Prócz innych, głębszych może, których rozbioru nie uważamy na tem miejscu za odpowiedne, za możebne, jest bez wątpienia jedną z głównych, — zupełne usunięcie śpiewu polskiego ze szkół, zwłaszcza też ze szkół ludowych, czyli elementarnych.

Jak wielka ujma, jak wielka szczerba powstaje ztąd w wychowaniu, jak wielki niedobór w sercu i duszy pozostaje za nami, przyzna to każdy bezstronny pedagog, do jakiej bądź narodowości by należał.

Dziecko pieśni swoje spamięta całe życie i będzie je pielęgnowało w duszy swej i myśli, w swych uczuciach, obce odrzuci i zapomni na drugi dzień po opuszczeniu szkoły.

Tak wołają wszyscy nieuprzedzeni wychowawcy, ale to nic nie pomaga, jedna tylko brzmi odpowiedź zaślepiona, jeden wyrok: ausrotten.

To przynajmniej w Świątyniach Pańskich głos dzieci polskich rozbrzmiewa i łączy się z głosem ludu. Ha! jak i gdzie! w jednych mniej, w drugich więcej, w innych znowu ledwo kilka głosów przy dźwięku organ usłyszysz. A jakże jednak musi być Bogu i Niebu miłą owa cicha i korna modlitwa rodziców i starszych w połączeniu z głośnem pieniem ich dziatek.

A. C.

Niczem to życie,
Gdy je w okowach gnuśność trzyma!
Czyn tylko jego tchnień potęga.
Jan Kasprowicz.

* * *

Wina ojca idzie w syna
Niegodnych, synowie niegodni.
Stanisław Wyspiański.



„Adampol,"

osada polska w Turcyi azyatyckiej i nasza Polonia w Konstantynopolu.

(Od naszego specyalnego korespondenta.)

Konstantynopol, 20. III. 08.

Nie każdemu pewnie jest wiadomo, że nad Bosforem, na dawniejszej ziemi pontyjskiej, w granicach dawniejszego biskupstwa Halcedońskiego, pamiętnego w dziejach Kościoła ze soboru powszechnego, na którym herezya Aryusza potępioną została, znajduje się kolonia, mieszkańcy której posługują się naszą mową macierzystą.

Nazwę nosi Adampol od założyciela swego księcia Adama Czartoryskiego.

Oto krótki zarys historyczny powstania tej kolonii. W czasie 25-cio letniej walki wojsk rosyjskich na Kaukazie z Szamilem, emirem Dagestanu, dużo jeńców wojennych wziętych do niewoli, wywieziono do Turcyi, gdzie na główniejszych targach w Małej Azyi np. w Smyrnie ich sprzedawano. Pomiędzy tymi jeńcami, znajdowało się wielu Polaków, którzy służąc jako żołnierze w szeregach armii rosyjskiej i dostawszy się, jako niewolnicy, na targ, zwykle wykupywani zostawali przez miejscowe duchowieństwo katolickie.

Pierwszym Polakiem, który został wykupiony z niewoli bisurmańskiej na rynku Smyrneńskim przez tamtejszego Arcybiskupa był niejakiś Smoliński z zawodu młynarz. Gdy już większa garstka Polaków, wykupionych z niewoli, zaczęła się błąkać w Turcyi bez najmniejszych środków życia, ks. Adam Czartoryski z funduszu narodowego w r. 1842 aktem notaryalnym zakupił od księży Lazarystów obszar ziemi, obejmujący koło 40000 kw. dylomów (dylom tyle co łokieć, jest to miara turecka) i na niej osadził błąkających się Polaków.

Gdy w r. 1848 wybuchła rewolucya węgierska, liczny zastęp Polaków ze wszystkich 3 zaborów podążył na Węgry, aby tam walczyć o niepodległość narodu węgierskiego. Lecz gdy wojskom austryackim, które dotychczas tylko same porażki cierpiały, z pomocą nadszedł z wojskami wszystkiemi feldmarszałek hr. Paszkiewicz, sytuacya nagle się zmieniła. Węgrzy i Polacy parci przez armię rosyjską, po przegranej bitwie w okolicach Orsowy, wkroczyli do Rumunii, która wtedy była księstwem wasalnem należącem do Turcyi, i ztamtąd w liczbie 6000 udali się wprost do Konstantynopola.

Później zaś gdy w r. 1856 wybuchła wojna krymska, znów wielu jeńców wojennych rosyjskich, pomiędzy którymi było dużo Polaków, wziętych do niewoli po stoczonej bitwie pod Bałakławą, zostało wysłanych do Francyi, gdzie ich internowano w różnych miejscowościach.

Lecz po niejakim czasie rząd francuski spostrzegł się, że są oni tylko ciężarem dla kraju, pozwolił im wracać i prawie wszyscy też, z wyjątkiem Rosyan, przybyli do Turcyi. — Z nich to uformowana została przez rząd angielski dywizya hr. Zamojskiego, która pozostawała na żołdzie angielskim, a nawet przyjąć miała czynny udział w operacyach wojsk koalicyi. Lecz do tego nie przyszło. Wkrótce też dywizya ta została rozpuszczoną i każdy z żołdaków otrzymał jako odszkodowanie po 22 funty angielskie. — W taki sposób liczba tułaczów Polaków wzrosła do poważnej liczby i trzeba było przyjść z pomocą nieszczęśliwym rodakom.

Otóż, jak wyżej wspomniałem, teren zakupiony z funduszu narodowego był schroniskiem dla nieszczęśliwych tułaczów — i naraz zaludnił się. — Każdy z nich dostał po 40 dylomów kw. ziemi i narzędzia potrzebne do karczowania. Pierwsze kroki były bardzo trudne; teren był lasem i krzakami pokryty i w pocie czoła przy temperaturze dochodzącej w lecie do 35° R., a w zimie przy zimnie do 15° R., trzeba było karczować, lecz wiedząc dobrze, że w ojczyźnie nic lepszego nie znajdą — tu muszę nadmienić, że wtedy jeszcze poddaństwo istniało — przy pracy mozolnej i nadludzkiej cierpliwości, zdołali przezwyciężyć wszystkie trudności i swoje kawałki gruntów uczynić zdolnemi do zasiewu.

* * *

Lecz prawdziwy, racyonalny rozwój tej kolonii datuje dopiero od r. 1890. Jeden z Polaków zamieszkałych tu w Konstantynopolu p. Franciszek Iwasiński, znany tu powszechnie pod nazwą *„konsula polskiego"*, rodem z Ks. Poznańskiego, zajął się gorąco losami tej kolonii.

Pan F. J. wielki patryota, zacny i uczynny człowiek, nie szczędził grosza, by kolonistom polskim przyjść z pomocą. Za jego to radą i wskazówkami powstały na kolonii ładne domki wraz z zabudowaniami gospodarskiemi. Przy każdym z tych domków znajduje się obecnie bardzo ładny ogródek z drzewami owocowemi, a także gdzie niegdzie widać i pasieki. — Każdy z kolonistów ma prawo korzystania z lasu. Kilku z zamożniejszych kolonistów wybudowało małe hoteliki, gdzie liczni turyści przybywający latową porą z Konstantynopola mogą wygodnie przenocować i spożyć nie złe śniadanie i obiad po przystępnej cenie.

Szczególniej w ostatnich latach *„Poloneskeny"* (po turecku polska wieś), jak powszechnie zwią tę osadę, była licznie zwiedzana przez turystów i zdarzało się nieraz, że w sobotę lub przeddzień święta bywało tak wielu gości, że nie można było wszystkich rozlokować na nocleg, lecz nasz niestrudzony *„konsul polski"* zawsze temu zaradzał i przez to zjednał sobie reputacyę i dał się zapoznać szerszemu ogółowi w Konstantynopolu.

Kolonia ta liczy po dzień dzisiejszy blisko 200 dusz, formując gminę, na czele której stoi *„muchtar"* (po turecku wójt gminy) obrany przez kolonistów i zatwierdzony przez *„walego"* (gubernatora).



Osada polska w Adampolu.

Pod względem administracyjnym „*Adampol*“ należy do wilajetu konstantynopolitańskiego i do „*caza*“ (powiatu) Bejkos.

W ostatnich czasach z powodu znacznego napływu przyjezdnych został wybudowany tamże „*karakul*“ czyli posterunek policyjny.

W bliskości znajdujący się odwieczny las z kasztanów, dębów i buków, sprawia majestatyczne wrażenie i przypomina Iwonicz w Galicyi. W lasach tych znajduje się mnóstwo dzików, wilków i szakali, które nieraz naszym kolonistom płatają figle.

* * *



Sianożęcie w osadzie polskiej w Adampolu.

Kościoła niema, chociaż odpowiedni fundusz w drodze składek zebrany i zdeponowany został w banku „Credit Lyonnais.“

Poza kolonią leży cmentarz grzebalny. Szkoły tj. budynku specyalnego na szkołę kolonia nie posiada, a tylko dziatwa zbiera się w domu nauczyciela tamże zamieszkałego parę razy tygodniowo, gdzie elementarne początki i katechizm się im wykłada.

Żeby się dostać do Adampola (nazwa ta używana jest li tylko przez Polaków), trzeba pierwszym statkiem, odchodzącym z Konstantynopola zrana o g. 7-ej wyjechać do Bejkos (Bejkos leży nad samym Bosforem), gdzie się jest koło 9 g. zrana, a ztamtąd wózkiem lub wierzchem na koniu jedzie się dobre 2 godziny na miejsce przeznaczenia. — Z powrotem trzeba z takiem wyrachowaniem czasu wyruszyć z Adampola, ażeby w Bejkosie zdążyć na ostatni statek odchodzący do Konstantynopola tak, że osoby mające swobodny czas tylko w niedzielę lub święta mogą odbyć tę podróż (dosyć forsowną) tam i z powrotem w ciągu jednego dnia. Ale można jeszcze lepiej urządzić się, a mianowicie, wyjechawszy z Konstantynopola ostatnim statkiem w sobotę lub przeddzień święta, przenocować w Bejkosie i nazajutrz wyruszyć do Adampola. Klimat w Adampolu posiada wszystkie zalety górskiego i morskiego klimatu, i mając czystą zdrojową wodę, nadaje się całkowicie na stacyę klimatyczną.

Teraz wspomnę nieco o kolonii polskiej w Konstantynopolu. Kolania ta jest nie bardzo liczna. Inteligencyę takowej stanowią p. Warnia-Zarzecki, malarz, profesor cesarskiej szkoły sztuk pięknych, uczeń akademii sztuk pięknych w Monachium, lekarze p. Semerau i p. Ignatowicz, p. Th. Wańkowicz, inżynier dróg i mostów, na służbie urzędu tureckiego, p. Leon Ostroróg, adwokat , doktór praw, znakomity oryentalista, p. F—ski, p. S—cz, p. O'B—r, korespondenci do pism polskich i zagranicznych, p. Gutowska, wdowa po lekarzu, a siostra ś. p. „*Mussafer-Paszy*“ (Czajkowskiego) byłego jenerał-gubernatora gór



Polacy na polowaniu w Adampolu.

Libanu, p. Rivet żona inżyniera Francuza, a córka ostatniego kapitana 4-go pułku ułanów polskich, p. Ratyńska, wdowa po tutejszym obywatelu, która znała osobiście Adama Mickiewicza, który zamieszkiwał w jednym z jej domów i tamże umarł, p. M. Grabowski, stroiciel fortepianów, a także wspomniany tylokrotnie „*konsul polski*“ p. F. Iwasiński.

Prócz wyżej wymienionych osób kolonia tutejsza liczy: p. X., prokurystę w jednym z tutejszych banków, p. Y. „*jednego z nasich*“ podszywającego się pod szlachectwo polskie i posiadającego dobra rycerskie w Ks. Poznańskiem (?!) „*Szlachcic*“ ten gdy idzie ulicą ze znajomym kłania się przed jadącemi próżnemi karetami, aby zaimponować w ten sposób swemu towarzyszowi znajomościami tak rozgałęzionemi, p. Z. inżyniera (?!), właściciela kopalń na „*księżycu*“ i jego synka „*Gapcia*“ młodzieńca 26-cioletniego, wychowanego pod fartuszkiem mamusi, a który nigdy do żadnej szkoły w swem życiu nie uczęszczał, p. Q., majstra krawieckiego, uczciwego i dobrego człowieka, który „*nucąc godzinki*“ przykrawa powierzony sobie materyał.

Jest tu wiele osób, które noszą nazwiska z końcówką „*ski*,“ lecz sami wcale nie mówią polskim językiem, gdyż ojcowie pożeniwszy się z Ormiankami, Greczynkami lub Francuzkami nie starali się nauczyć swych dzieci mowy ojczystej.

Jest również w Konstantynopolu cukiernia polska, prowadzona przez p. J. Karweckiego, rodem z Galicyi, znającego dobrze swój fach i mogącego zaspokoić najwybredniejsze wymagania.

Istniało tutaj także przed paru laty „*polskie towarzystwo wzajemnej pomocy*,“ a także dość spora „*biblioteka*,“ lecz z powodu, że w skład takowego wchodziły „*niesforne elementa*“ zostało rozwiązane. Fundusze, które posiadało wzmiankowane towarzystwo, zostały ulokowane w jednym z banków tutejszych, bibliotekę zaś, „*mole zjadły*.“

Alfa

Nie pomogą próżne żale,
Ból swój niebu trza polecić,
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść—i świecić.

Adam Asnyk.

* * *

Upadek dobrych więcej zasmuca
aniżeli w złem trwanie niegodziwych.

A. E. Koźmian.

„Czarna ręka“

Interesujące rzeczy opowiadał niedawno temu socyalista Ferri w rzymskiej izbie posłów o Kamorze.

Kamora — podobnie jak Mafia, grasująca w Sycylii — jest tajnem stowarzyszeniem opryszków, zajmujących się kradzieżą, wymuszaniem a nawet morderstwem. Kamoryści są doskonale zorganizowani i dzięki teroryzmowi, który stosują do wszystkich swoich przeciwników, nie wyłączając oczywiście policyi, która częstokroć stoi na jej usługach, stanowią ciężką plagę dla ludności południowo-włoskiej.

Każdy, kto wstępuje w szeregi Kamory musi przysięgać na krucyfiks, że będzie wierny herszt om bandy. Dwa lata trwa czas próbny. Po szczęśliwem absolwowaniu takowych, otrzymuje wyćwiczony opryszek dwa noże, po których się członkowie bandy poznawają wzajemnie.

Były czasy, że do czynnych członków Kamory i Mafii należały wybitne osobistości. Obecnie tylko szumowiny społeczeństwa tworzą te ponure i zbrodnicze kadry, będące prawdziwemi plamami na honorze szlachetnego narodu włoskiego. Niestety zbyt często się zdarza i dziś jeszcze, że wybitniejsze osobistości posługują się Kamorą lub Mafią w osobistych widokach, a wielu nie chcąc się narażać na nieprzyjaźń i prześladowanie tych łotrów, lubo by mogli, ociągają się z przyłożeniem ręki do wytępienia tej mściwej i zbrodniczej hołoty.

Najsmutniejsza, że nawet policya patrzy przez szpary na działalność tych opryszków, a niekiedy — jak to wykazywały wywody Ferriego — solidaryzuje się z nimi.

Szczególnie na Neapolu ciąży czarna ręka Kamory. Swego czasu grasował tam niejaki Totonno di Santo Domenico. Właściwie nazywał się Antonio Parlato, a znany był także pod mianem hrabiego Gabutti. Opryszek ten komenderował całą bandą złodziei kieszonkowych, którzy specyalnie „pracowali“ w tramwajach elektrycznych, nie gardzili jednakże i rozbojem w biały dzień na placach publicznych. Policyą tak potrafił owładnąć, że stróże bezpieczeństwa publicznego natychmiast znikali z widowni, gdy się ze swoją bandą pojawił. Odważniejszy i sumienniejszy policyant pozwolił sobie razu pewnego nie zniknąć przy takiej okazyi. Natychmiast przystąpił doń Totonno i zmusił go wyzwiskami do opuszczenia posterunku. Inny policyant nazwiskiem Gianacchi spostrzegł pewnego razu, że pewien cudzoziemiec przeliczał w tramwaju banknoty a następnie portfel z pieniędzmi schował do zewnętrznej kieszeni płaszcza. Sumienny policyant natychmiast dał znak złodziejowi kieszonkowemu, który nieopatrznemu pasażerowi ulżył o kilkaset lir. Mimo to Gianacchi dotychczas pełni służbę bezpieczeństwa. Również policyant Ippolito, który pobierał od przywódzcy kamory Totonna po 200 lir miesięcznej gratyfikacyi, jest w urzędzie i włos z głowy mu nie spadł. Totonno wprawdzie narzekał na policyantów, nazywał ich pijawkami, lecz był bardzo dla nich hojnym. Zdarzało się, że nawet na podróże do wód dawał zapomogi, żonie pewnego policyanta ofiarował 250 marek, gdy udawała się w podróż do Niemiec. Stwierdzono także, że niekiedy wprost dzielił się łupem z policyantami, a pomoc, jaką mu udzielał Gianacchi, tak go wzruszyła, że przy takiej okazyi nawet zdrowie jego wzniósł i mówkę wypowiedział.

Więcej podobnych rzeczy opowiadał poseł Ferri. Niech starczy to, co tu powtórzyliśmy.

Zaznaczyć jeszcze należy, że doskonałą bronią przeciwko kamorze okazali się karabinierzy królewscy. Są to ludzie uczciwi, odważni i zręczni, są prawdziwym postrachem dla opryszków. Niestety ludność za mało pomaga im w ciężkiej i użytecznej robocie oczyszczania kraju z tej plagi.

Lecz porzućmy Włochy i podążmy do Ameryki, gdzie pomiędzy wychodźtwem włoskiem grasuje ta sama plaga, co w ojczyźnie. W Ameryce organizacya złoczyńców włoskich przyjęła miano „czarnej ręki“.

Czarna ręka podobnie doskonale jest zorganizowana jak Kamora i Mafia i w podobny sposób pracuje. Zaznaczyć należy, że działa przeważnie tylko pomiędzy Włochami, którzy tak są steroryzowani, że nawet przeszkadzają policyi amerykańskiej w ściganiu złoczyńców. Znawcy odnośnych stosunków twierdzą, że dwie trzecie kupców i przemysłowców włoskich, zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych Ameryki, płacą regularnie haracz Czarnej ręce, by się zabezpieczyć przed zemstą lub napadami. Ci, którzy wzbraniają się wypełnić żądania Czarnej ręki, w największej części przypłacają ten opór życiem. To też mordy, wydarzające się np. w kolonii włoskiej Nowego Jorku, należą do wypadków nadzwyczaj częstych. Prawie co tydzień przynoszą gazety wiadomość o mordzie popełnionym przez Czarną rękę. Zazwyczaj, a raczej prawie zawsze sprawca wychodzi cało.

Policya zupełnie jest bezradna. Bardzo często wypośrodkuje mordercę, lecz ukarać go nie można, gdyż niepodobna udowodnić mu winy. Włosi boją się zemsty Czarnej ręki i milczą, jak zaklęci. Ludzie, którzy byli obecni, gdy ofiara pchnięcie sztyletem otrzymała, oświadczają, że nic nie widzieli, nic nie słyszeli, taki strach mają przed zorganizowaną bandą złoczyńców.

Policyi nie pozostaje nic, jak robić

Z życia Polaków na obczyźnie.



Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ w Habinghorst w Westfalii.

Gniazda sokole na obczyźnie mogą być poniekąd wzorem solidarności, porządku i karności dla całego Związku sokolego. Poważny zastęp ćwiczących, jednolity strój tak ćwiczebny jak codzienny mile chwyta oko i serce. Sokoła na obczyźnie poznasz od razu po zgrabnej maciejówce. Gniazdo w Habinghorst, założone dnia 17. czerwca 1906 r., rozwija się znakomicie. Na obczyźnie jest w ogóle około 60 gniazd, jednoczących przeszło 3000 członków.

od czasu do czasu obławy, t. zw. razzie. Przy tej sposobności konfiskuje się noże i rewolwery u opryszków, zamyka się ich na kilka dni do kozy, następnie trzeba ich puścić na wolność. Morderstwa, o których mowa, popełnia Czarna ręka nie tyle ze sportu, choć i to się zdarza, ile ze zemsty. Zazwyczaj zamordowany dostaje zapozew, by wypłacił tam a tam taką a taką sumę pieniędzy; jeżeli nie może lub nie chce zadość uczynić wezwaniu spotyka go śmierć lub inne jakie nieszczęście np. zniszczenie domu przez bombę, uprowadzenie dziecka, włamanie lub temu podobne niespodzianki.

Dla informacyi warto przytoczyć, co następuje: W sprawie jednego morderstwa zgromadziło się dość dużo poszlak przeciwko pewnemu Włochowi. Najważniejszym świadkiem była pewna stara kobieta włoska. Już miała zeznawać, gdy naraz z jękiem padła na ziemię, powtarzając zbielałemi wargami: znak śmierci, znak śmierci. Powód był bardzo prosty. W audytoryum siedziało mnóstwo Włochów, jeden z nich wykonał gest ostrzegawczy. To starczyło. Staruszka wzbraniała się zeznawać. Mordercę musiano uwolnić dla braku dowodów.

Członkowie Czarnej ręki żyją z wymuszania głównie. Uprawiają także fałszowanie monet a nawet podpalanie, lecz tylko wyjątkowo. Najlepiej się opłaca wymuszanie, gdyż ludność włoska tak jest steroryzowana, że prawie nigdy nie szuka pomocy u władzy, gdyż wie, że tylko na gorsze się naraża ewentualności.

Również donośnym interesem jest uprowadzenie dzieci, mianowicie drobnych, które potem nic zeznać nie potrafią. Włosi o takich sprawach nie donoszą policyi, gdyż wiedzą, że przedłużają tylko termin oddania dziecka, jeżeli policya czyni poszukiwania. Po zniknięciu dziecka odbiera ojciec list, z zawezwaniem, by zapłacił taką a taką sumę, inaczej chłopca więcej w życiu nie zobaczy. Ojciec płaci należytość, a niebawem spotyka opłakiwanego syna w najbliższej okolicy swego mieszkania. Zdarza się, że policya dowiaduje się następnie o takim wypadku, wszczynają się indagacye, lecz stroskani rodzice przysięgają na wszelkie sposoby, że nie płacili haraczu, że sprawa zniknięcia dziecka była zupełnie niewinna itd. wszystko ze strachu przed zemstą szlachetnego towarzystwa Czarnej ręki.

Wprawdzie inteligentniejsi Włosi starają się zwalczać panoszące się zło, lecz dotychczas staranie te tak dobrze, jak żadnych nie wydały rezultatów. Naprawy tylko wtedy spodziewać się można, jeżeli lud włoski wyzbędzie się przekonania, że Czarna ręka zdoła ukarać śmiercią każde ściganie swych członków.



Dziewięćset dwunasta rocznica
męczeńskiej śmierci św. Wojciecha.

Biskup praski Wojciech, syn Sławnika, nie mogąc znieść zatargów dwóch potężnych rodzin czeskich Sławników i Wrszowców, opuścił Czechy i przybył do Polski na dwór Bolesława Wielkiego r. 996. Gdy się bliżej poznali, zaczęli się naradzać, jakby do wiary chrześciańskiej przywieść pogańskich Prusaków. Zaraz też po zimie, wyprawiony przez Bolesława, wyruszył Wojciech w towarzystwie 30 zbrojnych ludzi od Gniezna korytem Wisły i udał się do Gdańska, a ztamtąd na brzegi morskie. Ochrzciwszy wielu Pomorzan, popłynął morzem do Prus, ale Prusacy przyjęli go niechętnie.

— Mamy własne zakony — wołali — i wy, co innymi się rządzicie, ustąpcie z naszej ziemi, bo was śmierć czeka!

Biskup jednak z towarzyszami wysiadł z łodzi w okolicy między dzisiejszemi miastami Piławą a Fischhausen i znużony ułożył się do snu na miejscu świętem Prusaków, zwanem Romowe, za co poniósł śmierć męczeńską z rąk pogańskiego kapłana, dnia 23 kwietnia 997 r. Król Bolesław dowiedziawszy się o śmierci św. Wojciecha, wysłał zaraz posłów do Prusaków z żądaniem wydania ciała zabitego, obiecując tyle złota i srebra, ile



Męczeństwo św. Wojciecha przez Prusaków, dnia 23-go kwietnia 997 r.

ciało św. Wojciecha ważyć będzie. Gdy chciwi Prusacy wzięli na wagę ciało, dziwili się i gniewali, bo ciało nic prawie nie ważyło. Sprowadzono wreszcie ciało św. Wojciecha do Gniezna i złożono je w tamtejszej katedrze w srebrnej trumnie, nad którą wznosi się piękny nagrobek. Święty Wojciech, Woj-owników po-ciecha, pozostawił pieśń do Bogarodzicy, którą śpiewało rycerstwo polskie przed rozpoczęciem bitwy.

Polska mowa.

Idzie wygnana, biedna sierota
Po śmierci ojców z rodzinnej chaty,
Dola sieroca gna ją za wrota
I ojcowizny zdziera z niej szmaty.
I dokąd pójdziesz, gdy ci nie wolno
Zajęknąć nawet nutą rodową?
I dokąd zwrócisz stopę mozolną
O polska mowo!

O, ty wiesz dokąd, wiesz, gdzie bezpiecznie
Ostać się możesz zagłady hydrze,
Wiesz nieśmiertelna, gdzie ci żyć wiecznie,
Wiesz, zkąd cię żadna siła nie wydrze.
Jak ze serc na świat wybiegłaś słowem,
Tak się dziś w serca chronisz na nowo
I w nich zarzewiem ogrzejesz nowem
O polska mowo!

Cóż że zamilkniesz? spokój cię wzmocni;
I słowik milknie, gdy burza wyje,
Gdy mrok panuje i ptacy nocni
Orzeł swą głowę pod skrzydła kryje.
A przecież słowik znów zaświergoce,
I orzeł głowę wzniesie na nowo,
Gdy burze miną, gdy pierzchną noce
O polska mowo!

Cóż że zamilkniesz? — W spodlonym tłumie
Jestże do kogo ozwać się wrząco?
Choćbyś wołała — nikt nie zrozumie,
A my słyszymy ciebie milczącą!
Zbrój się milczeniem do nowych brzemion,
Boś ty za dumna na skargi słowo,
A lud twój żyje, chociaż oniemion
O polska mowo!

Lecz milcz poważnie, nie jęknij nawet
I nie przeklinaj w dzikiej boleści,
I nie wyzywaj zemsty wet za wet,
Bo gniew twą czystą szatę bezcześci.
Lecz brzmij w serc naszych arce przymierza
Niewysławiona, żałosna wdowo,
Nie nutą klątwy — ale pacierza
O polska mowo!

Józef Kościelski.



Ważne doniesienie.

W tych dniach rozpoczęliśmy druk pracy posła Dra Zygmunta Dziembowskiego p. t.: „Podręcznik w sprawie wywłaszczenia“. Autor był członkiem komisyi Sejmu pruskiego dla ustawy ekspropryacyjnej, oraz komisyi budżetowej przy omawianiu memoryałów kolonizacyjnych, miał zatem sposobność zapoznania się dokładnego z tak ważną dziś dla nas sprawą. Podręcznik zawiera dokładny obraz postępowania ekspropryacyjnego, zasad odszkodowania, praw właściciela oraz osób trzecich, przyczem udzielone są rady, jak należy postąpić w danym wypadku. W licznych uwagach przedstawiony został materyał odnośny, w którym czytelnik znaleść może dokładniejsze informacye. Autor podaje również dokładne cyfry dotyczące działalności komisyi kolonizacyjnej, omawia jej skład i organizacyę. Dlatego praca interesować powinna także szersze sfery naszego społeczeństwa, nietylko osoby zagrożone wprost wywłaszczeniem. Osobno podany będzie tekst praw odnośnych oraz wyciągi z ważniejszych wyroków sądu rzeszy.

Książka posła dra Z. Dziembowskiego obejmować będzie około 100 stron druku na pięknym papierze i ukaże się w handlu księgarskim w połowie maja. Zamawiać już można dziś wprost w Administracyi „Pracy“, Poznań ul. Rycerska Nr. 38. Cena książki wynosi 1,25 mk. eksel. kosztów przesyłki i pobrania należytości. Księgarnie i pośrednicy otrzymają odpowiedni rabat. Zwracamy pilną uwagę na ukazać się mające wkrótce dzieło tak wybitnego prawnika i znawcy nowej ustawy ekspropryacyjnej i dajemy wyraz niepłonnej — jak tuszymy — nadziei, że praca posła dr. Dziembowskiego znajdzie jak najliczniejszy popyt w naszem społeczeństwie, gdyż traktuje o przedmiocie, obchodzącym w wysokim stopniu całe społeczeństwo nasze, a nie pozbawionym znaczenia także dla braci naszych, zamieszkałych w Kongresówce i Galicyi.

Czynami ślad żywota kreśl,
Bo w świecie prawem tylko to:
Że każdy czyn — znów rodzi myśl,
A każda myśl, to czynów zło.

Józef Kościelski.

Pogadanka naukowa.

Szósty zmysł.

Czytelnik zdziwił się zapewne, spojrzawszy na powyższy tytuł, dotąd bowiem powszechnie czytano i mówiono, iż człowiek posiada pięć zmysłów, a mianowicie wzrok, słuch, smak, powonienie i czucie. Dzisiaj przybywa szósty, a w miarę postępu i rozwoju nauki a w szczególności fizyologii, prawdopodobnie przybędzie ich jeszcze więcej. Ten zmysł szósty, o którym mowa, niema jeszcze ustalonej nazwy w nauce, jakkolwiek istnienie jego musi być przyznane, a różne nazwy, jakie mu uczeni badacze nadają, oznaczają jednę i tę samą rzecz różnemi słowami. Najczęściej używana jest nazwa „zmysł równowagi.“

Sprawa ta w fizyologii nie jest nowością, od lat kilkudziesięciu bowiem zajmują się nią fizyologowie i przyrodnicy, dla publiczności jednak przedmiot to mało znany, a ciekawy choćby z tego względu, że może nam wytłómaczyć wiele zjawisk, występujących zarówno u człowieka zdrowego, jak u ludzi dotkniętych cierpieniami pewnych narządów.

U zwierząt niższych narząd zmysłów, które w wyższych gromadach okazują skomplikowane urządzenie, odznacza się większą prostotą i pojedyńczą budową.

Otóż przed kilkudziesięciu laty zastanawiało badaczy, czyby rzeczywiście narząd tak pojedyńczo urządzony mógł służyć do tak skomplikowanej czynności, jaką jest odbieranie wrażeń słuchowych, a badacze ci przyszli do przekonania, iż owe pęcherzyki, uchodzące za narząd słuchu, muszą u tych zwierząt do innego celu służyć. Wykonano szereg doświadczeń w ten sposób, że zwierzęta, jak raki, żaby, ryby, pozbawiano właśnie tego narządu i wtenczas można było widzieć utratę zupełną, lub częściową możności oryentowania się wśród otaczających przedmiotów i mniejszą swobodę w wykonywaniu ruchów.

Obok tego szeregu doświadczeń przeprowadzono inne bez wycinania narządu słuchowego. Znowu używano przeważnie skorupiaków, u których po okresie lenienia się i przeobrażenia, odrastają niektóre części ciała, między niemi właśnie owe pęcherzyki słuchowe. Jeżeli zwierzęta te w owym okresie wprowadzimy do wody, gdzie są rozsypane opiłki żelazne, to one wprowadzają je do pęcherzyków; moż-

na obserwować przytem ciekawe zachowanie się ich względem magnesu.

Chcąc jednak zrozumieć działanie magnesu, trzeba poznać prawa fizyczne, jakim pyłek żelazny rozwieszony na włosku pęcherzyka podlega. Działa nań przedewszystkiem siła powszechnego ciążenia, którą możemy rozłożyć według znanych praw fizyki na dwie składowe: jedna z nich ciągnie pyłek na bok a druga przyciska do włoska. Gdy zwierzątko znajdzie się w stanie spoczynku, siły się równoważą i pyłek nie zmienia położenia. Jeżeli teraz przy ruchach zwierzęcia zadziała na nie inna jakaś siła, np. przechylająca je na bok, to ją znowu można rozłożyć na dwie składowe, z których jedna, działająca w kierunku przeciwnym do siły przyciskającej pyłek do włoska, zmniejsza jej działanie, a druga działa z boku, pyłek wówczas posunie się na bok i zagina swym ciężarem włosek. Zagięcie się zaś włoska drażni nerwy tu się kończące i za ich pośrednictwem to zaburzenie równowagi dochodzi do świadomości zwierzątka, a ono oddziaływa na to pochyleniem ciała ku stronie przeciwnej, aby zająć pierwotne położenie. W ten sam sposób dzięki ruchom pyłka odczuwa zwierzę i oddziaływuje na każde przyśpieszenie i zwolnienie i na każdą zmianę kierunku ruchu. To urządzenie, a raczej ów pyłek trafnie porównano z ciężarkiem, jaki akrobaci przywiązują do końca drążka, trzymanego w rękach, z którego zboczeń wnioskują o zboczeniu ruchu i przechylają się w stronę przeciwną celem utrzymania równowagi.

O tych ruchach pyłku i ruchach zwierzęcia możemy nabrać wyobrażenia, wystawiając je na działanie magnesu, znajdującego się np. ze strony prawej zwierzęcia. Pyłek przesunie się również na prawo i zwierzę doznaje mylnego wrażenia, jak gdyby jakaś siła wyprowadziła je z równowagi i przechyliła je na stronę prawą, a chcąc powrócić do równowagi, zajmie położenie w kierunku przeciwnym o tyle, aby siły działające na pyłek mogły się równoważyć, czyli przechyli się na bok lewy. Raki zaś pozbawione tego pyłku, na magnes wcale nie oddziaływały.

Podobne spostrzeżenia można robić na ludziach, naturalnie nie za pomocą wiwisekcyi lub opisanych co dopiero doświadczeń, ale w pewnych pozycyach ciała lub przy wadach wrodzonych budowy ucha lub wreszcie przy sprawach chorobowych tegoż. Narząd słuchu u człowieka okazuje budowę bardzo skomplikowaną, zwłaszcza jego część wewnętrzna zakryta w czaszce, ale w tej budowie dostrzedz możemy pewną dwoistość. I tak, nerw słuchowy dzieli się na dwie gałęzie, z których jedna idzie do tak zwanego ślimaka, gdzie ma swoje zakończenia wśród organu Cortiego. Druga gałąź dąży do labiryntu, mającego odmienną budowę, odmienne zakończenia nerwowe a w jego przybłonku znajdujemy włoski, po których przesuwają się kamyki zwane otolitami. Ta dwoistość utkania i budowy ucha wewnętrznego u człowieka nasunęła myśl, iż tylko ślimak służy do odbierania wrażeń słuchowych a labirynt do innych celów a mianowicie, jak z doświadczeń dotychczasowych wnioskować można, on właśnie jest u człowieka niejako siedzibą owego szóstego zmysłu „równowagi". Otolity zawieszone na włoskach labiryntu podlegają tym samym prawom fizykalnym, jakie poznaliśmy przy doświadczeniach na zwierzętach a ich ruchy zależne są od położenia, w jakiem się człowiek znajduje i umożliwiają utrzymanie równowagi. Dzięki im człowiek tańczący, pomimo obracania się, nie odczuwa zawrotu głowy, bo otolity przechylają się również w odpowiednią stronę, dopiero gdy stanie, włoski przechylają się w stronę przeciwną i człowiek ten ma wrażenie, jak gdyby miał upaść w tę stronę. To samo da się stwierdzić przy bieganiu wokoło, obracaniu się na karuzeli itp., a takie objawy, jak choroby morskiej, tłomaczą autorowie jako wynik ciągłego a długotrwałego podrażnienia owego zmysłu równowagi.

Możemy także wykonać na sobie w tym kierunku bardzo proste doświadczenia, np. jeżeli ktoś jadąc koleją obserwuje okolicę, to gdy pociąg przyjdzie na ostro zagięty łuk, wtenczas przedmioty, na które jadący patrzy, przedstawiają się w położeniu skośnem, gdy ich obraz nie pada na pionową średnicę siatkówki. Ponieważ oczywiście przedmioty położenia swego nie zmieniły, więc zjawisko to możemy wytłómaczyć tylko zmianą położenia gałek ocznych, wywołaną drogą odruchową pod wpływem zmiany położenia otolitów w labiryncie oka.

Oprócz tych zjawisk, stanowiących dowody dodatnie na istnienie zmysłu „równowagi," przytaczają badacze cały szereg dowodów ujemnych, a to na podstawie doświadczeń wykonanych na ludziach, u których labirynt znajduje się w nienormalnym stanie, czy to skutkiem wrodzonych wad, czy też wskutek spraw chorobowych różnego rodzaju tamże się toczących.

Do pierwszej grupy ludzi zaliczyć trzeba głuchoniemych. Badania wykazały, że u nich objawy co dopiero opisane, jak ów ruch gałek przy huśtaniu, skośne widzenie przedmiotów na zakrętach i t. p. nie występują, a przy obrocie na karuzeli mogą oni nastawić wskazówkę zegarka w pewne położenie zupełnie prosto, podczas gdy człowiek normalny zawsze nastawi ją krzywo, a dzieje się to właśnie dlatego, iż głuchoniemy pozbawiony jest otolitów i nie odczuwa zmiany położenia tak, jak człowiek zdrowy. Podobne zjawiska widzieć można u ludzi dotkniętych cierpieniami ucha wewnętrznego np. przy krwotokach; istnieje wreszcie osobna postać chorobowa zwana „chorobą Meniera" zawdzięczająca swe powstanie przewlekłym cierpieniom ucha, która objawia się napadami zaczynającemi się od szumu w uchu, podobnego do gwizdania lokomotywy, poczem pojawia się silne uczucie trwogi i jakby omdlenia, oraz silny zawrót głowy, jednak do utraty przytomności nie przychodzi, lecz po dłuższym lub krótszym czasie napad przemija, aby się znów przy jakiemś podrażnieniu labiryntu powtórzyć.

Zestawiając teraz wszystko, to jest wyniki otrzymane drogą wiwisekcyi lub doświadczeń na zwierzętach, tudzież spostrzeżenia na ludziach, musimy przyjść do przekonania, iż w labiryncie mamy osobne urządzenie, które za pośrednictwem nerwów pozwala w różnych położeniach ciała zmieniać położenie jego środka ciężkości, a tem samem utrzymać je w równowadze. Jak wszystkie zmysły przez ćwiczenie i wprawę można doprowadzić do mniejszej lub większej doskonałości, tak i ów zmysł równowagi. Wydoskonalenie i wprawa słuchu pozwala muzykowi odróżniać najdelikatniejsze odcienia tonów, niedostępne dla ucha zwykłego śmiertelnika, podobnie wydoskonalenie zmysłu „równowagi" pozwala linoskoczkom i wszelkiego rodzaju akrobatom na wykonywanie rozmaitych ruchów, które widzów w zdumienie wprawiają. W końcu trzeba nadmienić, że wobec nieustalonego jeszcze w nauce ścisłego pojęcia i nazwy tego szóstego zmysłu, oczekiwać należy dalszych badań i doświadczeń, które w przyszłości rozświetlą tę sprawę, tak, iż ona będzie kiedyś zupełnie tak samo jasną, jak przy znanych już powszechnie pięciu innych zmysłach.

Os.



Pogadanka hygieniczna.

Odżywianie dzieci.

Nie tylko w wieku niemowlęctwa, ale także w latach późniejszych zwracać należy pilną uwagę na odżywianie dzieci.

W miastach wszystko żyje mięsem, stąd i dzieci od lat wczesnych zostają mięsożercami. Jeżeli zaś wyłączne karmienie się mięsem zgubne pociąga za sobą następstwa u ludzi starszych, jak to powszechnie stwierdzają dzisiaj lekarze, to tem gorsze skutki sprowadza taki sposób odżywiania dzieci. Na wsi co prawda nie ma tej obawy, bo tam rodzice rzadko kiedy jadają mięso, a zatem nie karmią niem również i dzieci swoich.

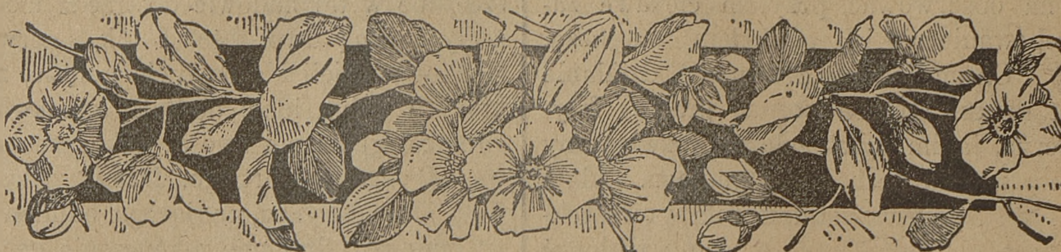
Za to coraz bardziej po wsiach rozpowszechnia się kawa i herbata, a jedno i drugie wcale dla dzieci nie jest pożądanem. Najlepiej, żeby dzieci przed 15 rokiem życia zupełnie nie pijały kawy i herbaty. Gdzie zaś rodzice dla braku mleka zmuszeni są dzieciom dawać kawę i herbatę na śniadanie, to niechże będzie kawa slodowa, knajpowska a herbata bardzo słaba i okraszona choćby odrobiną mleka.

O podawaniu dzieciom alkoholów trudno mówić bez piętnowania tego jako zbrodni, zwłaszcza gdy tym alkoholem jest wódka albo rum, choćby z herbatą. Nawet piwo czy wino choćby w małej ilości powinno być wykluczone z pokarmów dla dzieci. Jedynym napojem dla dzieci ma być woda. Dla starszych także ten napój najzdrowszy!

Z innych pokarmów nie doradzoną jest rzeczą dawać dzieciom tłuszcze i wszelkie kwasy. To samo powiedzieć należy o łakociach i cukrach.

O ile możności przyzwyczajać dzieci do regularnego jedzenia. W latach późniejszych nie więcej jak pięć razy na dzień. Wiejskie matki niektóre mało zwracają na to uwagi, że dzieci ich jedzą co chwilę, że same wydzielają sobie jedzenie, napychając zbytnio żołądek, więcej z łakomstwa jak z potrzeby. Ten i ów mały Maciuś chodzi z obwisłym brzuchem, jakby z cebrzykiem.

A gdy mowa o odżywianiu dzieci, na jedną bardzo ważną sprawę zwracamy matkom uwagę: niech też przyzwyczajają dzieci do tego, aby sobie bodaj raz na dzień po obiedzie lub przed spaniem myły usta i zęby. Ma to wielką doniosłość dla ich zdrowia. Tem prędzej zaś wykonają to dzieci, gdy widzieć będą, że i matka tak robi.



Dział kobiecy.

Nakrycie stołu.

Przy stole źle nakrytym łatwo stracić można humor i apetyt, a najlepsze i najkosztowniejsze potrawy niedbale przyrządzone i na nim podane nie smakują. W zarządzie gospodarstwem domowem nakrywanie do stołu jest zwykle pierwszą pracą powierzoną przez matki dorosłym lub dorastającym córkom i ze sposobu wykonywania go wyprowadzają matki wnioski, jakiemi też w przyszłości gospodyniami będą ich córki.

Forma stołu, na jakim jada się obiad, jest rzeczą obojętną, chociaż utrzymują niektórzy, że stół okrągły jest przyjemniejszy i wygodniejszy niż czworokątny. Rzeczą najważniejszą jest, aby przy nim każdy znalazł dla siebie miejsce dogodne, nikt nikogo nie utrudzał i nikt nikomu się nie uprzykrzał.

Najpierw rozkłada się na stole czysty obrus, a każdy z członków rodziny powinien mieć w oddzielnem kółku przeznaczoną dla siebie serwetę. Na stole powinien się znajdować laufer pleciony z trzciny i trzcinowe podstawki do podstawiania pod półmiski. Nie służą one do uchronienia obrusa od plam, gdyż jest rzeczą powszechnie znaną i przyjętą, że nim się postawi półmiski na stole jadalnym, poprzednio ociera się je w kuchni z brudu i sadzy, lecz mają one uchronić politurę blatu stołu od odparzenia.

Po prawej stronie każdego talerza stawia się podpórkę, na której spoczywają nóż i widelec. Widelec umieszcza się z lewej, nóż — z prawej strony i zwraca się go ostrzem do talerza. Łyżkę kładzie się albo obok noża, albo też poprzecznie u góry nad talerzem, zwracając ją stroną wydrążoną ku górze.

Jeżeli serweta jest zwinięta zwyczajnie w kółko, kładzie się ją po prawej stronie talerza, jeżeli zaś sztucznie ułożona, na talerzu. Prócz płaskich talerzy stoją przed gospodynią mniejsze talerzyki w stosie — są one przeznaczone do kompotów, jarzyn i legumin, obok nich są ułożone mniejsze łyżeczki do kompotu i do herbaty. Szklanki i kieliszki stoją na prawo, powyżej talerzy.

Na środku stołu, aby łatwo każdemu było do niego sięgnąć, stoji menażyk z octem, oliwą, cukrem, musztardą, pieprzem i solą. Jeżeli stół jest wielki, to i na drugim jego końcu stawia się również menażyk. W niektórych domach przyjętym jest zwyczaj stawiania przed każdem nakryciem oddzielnej solniczki. Do soli, gdy się jej nie przechowuje w puszkach do rozsypywania, powinny być oddzielne małe łyżeczki. Do słoika z musztardą wkłada się łyżkę rogową. W koszyku od chleba powinien być zarówno czarny jak i biały chleb. Karafka z wodą powinna stać na stole, chociaż często toczą się o to spory, czy picie wody przy obiedzie jest zdrowe? Za regułę przyjąć można, że lepiej odrazu postawić na stole karafkę, gdyż przez to unika się niepotrzebnego wstawania od stołu i chodzenia podczas obiadu. Bardzo jest praktycznym zwyczaj stawiania obok krzesła pani domu małego stolika kredensowego, na którym znajdować się mogą zapasowe talerzyki i łyżki. Tu również położyć można nożyki do owoców i papierowe serwetki do obtarcia rąk po jedzeniu owoców — przez co chroni się płócienne serwety od plam owocowych bardzo trudnych do wyprania.

Nim gospodyni zaprosi do stołu swych gości, lub też tylko członków swej rodziny, niech jeszcze ostatni raz rzuci wzrokiem na stół dla przekonania się, czy wszystko jest w porządku i czy na nim czego nie brakuje.

